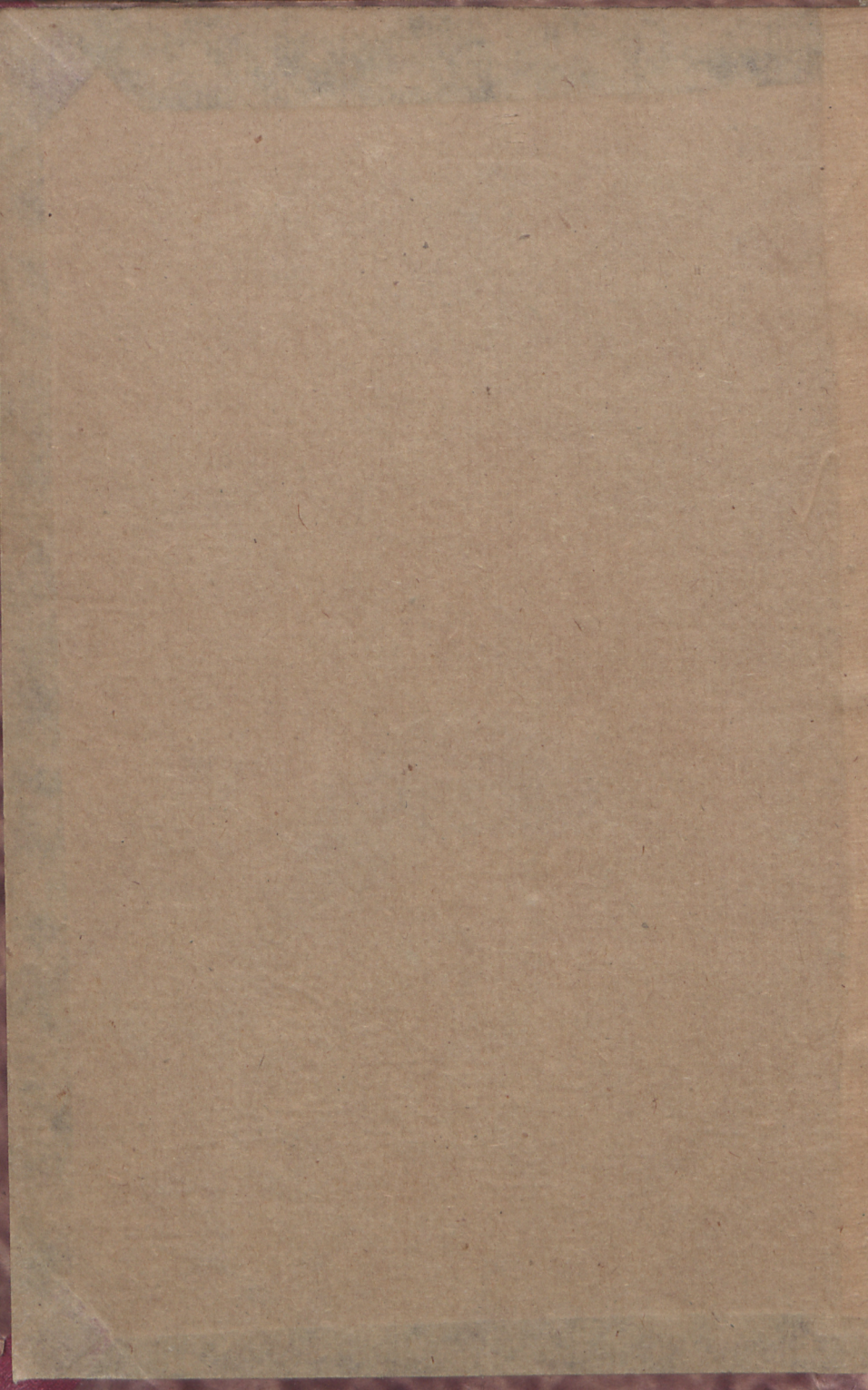


PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk - Wrzeszcz
K. Marksa 14



OKRĘGOWA
BIBLIOTEKA
PEDAGOGICZNA
KURATORIUM
O. S. GDAŃSK.

3681

S Ł O W A C K I

SIRYKI i SOEMAT



.. K

B

A

4653

LIRYKI I POEMATY

THIRTY-THREE

J U L I U S Z S Ł O W A C K I

LIRYKI i POEMATY

WYBÓR



1800. wiii

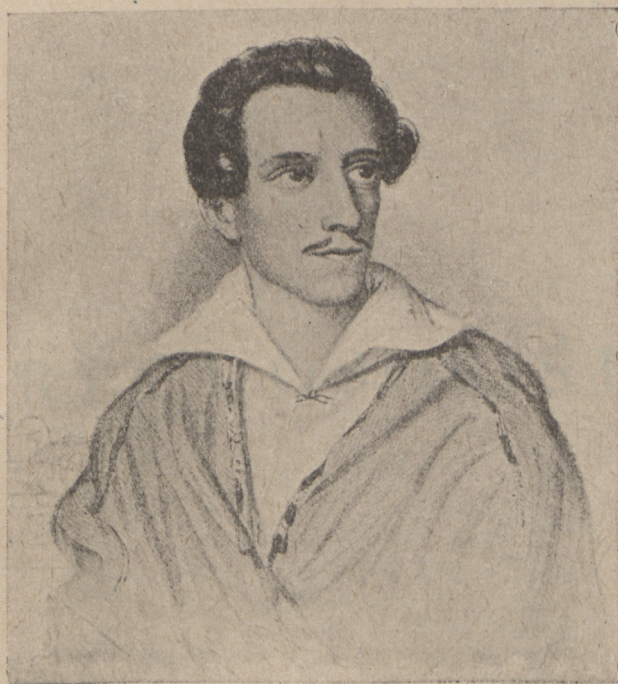
„K R A J”
SPÓŁDZIELCZY
I N S T Y T U T
W Y D A W N I C Z Y

R. K. Knig. Sam Knig.
23. 18. 50.



Inw. 3681
Dz. 884

KSIEGI POLSKIE Tom VIII
JULIUSZ SŁOWACKI
LIRYKI I POEMATY (WYBÓR)
Tekst przygotował, objaśnienia
i posłowie opracował doktor
EUGENIUSZ SAWRYMOWICZ
Okładkę projektował art. grafik
T A D E U S Z K R Y S Z A K
Wydano w nakładzie 10.200
na pap. druk. sat. 70 g, 61 x 86
i ilustracyjnym 90 g, 61 x 86
Druk. Uniw. i Pol. we Wrocławiu
Zam. 570/49 z 17. X. 49 — F-39117



Julius Stowacki

KRZEMIENIEC 23 VIII 1809 — PARYŻ 3 IV 1849

LIRYKA OSOBISTA

GODZINA MYŚLI

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczerzy są hymnem tego świata — a ten hymn posępny, zbląkanymi głosami wiecznie wniebowstępny, wpada między grające przed Jehową sfery jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta, co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze. Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę, kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy, jedną godziną myśli — trzeba w przeszłość wrócić; i przeszłość jako obraz ściemniały i płowy, pełny pobladyłych twarzy, ku słońcu odwrócić... I ścigać okiem światła obrazu i cienie jak lśniące rozprysniętych mozaiek kamienie. Tam — pod okiem pamięci — pomiędzy gór szczytem piękne rodzinne miasto — wieżami wytryska z doliny, wąskim nieba nakrytej błękitem. Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska; gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy, jak perły szmaragdami ogrodów przesnute. Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute i z szumem w kręte ulic wpadają załomy. Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem, większa nad inne — miastu panująca cieniem; stary — posępny zamek, który czołem trzyma,

różne przybiera kształty — chmur łamany wirem;
i w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
a w nocy jak korona, kryta żalu kirem,
często szczyby wiekowe przesuwa powoli
na srebrzystej księżycy wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy,
niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
niechaj przecuciem szuka zakrytego świata;
to potem wiele dawnych marzeń stanie przed nim,
i ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami jak chlebem powszednim,
dziś chleb ten zgorzkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
ma sen całego życia... A gdy tak przemarzają,
dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą
i bladym przerażają czołem od powicia;
smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali
siedziało dwoje dzieci — nie zmieszani w tłumie.
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,
piers mu się podnosiła ciężkim odetchnieniem;
włos na czole dzielony na ramiona spadał
i po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz: „On umrze“ — mówili przed matką;
wtenczas matka patrzyła długo w dziecka oczy
i przeczyła z uśmiechem — lecz w smutku godzinie,
kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
lękała się nieszczęścia i myśląc o synie
nie śmiała wyrzec: „Niech się dzieje wola Boga“. —
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej szkolnej sali było drugie dziecię.
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na nim nadzieje budowali szczytne.
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
trawił się — jego oczy ciemne i błękitne,
jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte
i godzinami myśli w nieruchomość wbite,
tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzył w nie widziane oczyma obrazy,
ludzie obłądność w oczach widzieli — lecz skazy
żadnej dostrzec nie mogli. Młoda pamięć obu,
ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
świadczyła o istności przedżywotnej ducha.
A przecuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
i smutni nad przepaści życia stali brzegiem
nie odwracając lic. W ciemnej szkolnej sali
smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,
wiosną — wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem,
tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
twarze umalowane zimnymi kolorami
obracali na stronę, skąd przyjść miała wiosna,
i pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem gdy w wiosennego powietrza błękitnie
w balsamy się rozlała czarna lasów sosna,
znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
wynaleźli woń tęskną — dziką i ulotną:
była to woń wierzbami oplakanej wody;
z cichej fali wstawiała każdego wieczora,
tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią — dzieci wyobraźnia chora,
wypalona, igrała z żółtym liściem lasów,
smutna jak w starcach pamięć przeminionych czasów.

Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
smutna poezja duszy oba serca żywi;

lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
odmiennie czuli. Dziecko z czarnymi oczyma,
młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydlatą
i wypadkami myśli żyło w siódmym niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
a potem silną wolą rzucał je przed siebie,
i stawały — i widział przed sobą obrazy,
od których się odłamał zimniejszym rozumem:
więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
że się zapozna myślą z myślным ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
budził — i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
posągom jego myśli brakowało ciała.
Dusza, jak w kryształowym zamkniętą przeźroczu,
patrzała na świat dzikim obłąkaniem oczu,
niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą
składali jedne, piękne całością obrazy.
W dnie wiosenne przy ścieżce piaskowej, na kwiatkach,
gdzie nad nimi różowe rozkwitały ślasy,
gdzie wiśnie jak dziewice w białych wiosny szatach
między zarumienione kryły się jabłonie,
tam wzajem na ramionach opierając skronie,
zamieniali słowami uczucia wzajemne.
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne
nie rozumiejąc myślą. Z dzieciniego piasku
na księgach Swedenburga budowali gmachy
pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
niebu tytanowymi grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
w światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
wiodą — w światło idące albo w ciemność duchy,
i świat tworów, w dwa takie rozłamany ruchy,

wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona
różnym życiem przez wieki rozkwita — i kona
przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów:
w kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
w człowieku myślą, światłem staje się w aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
w doskonalszym co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie,
ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
i będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
ziemskimi sny ścigani — grzeszą myślą dumy.
I co dnia z łona Boga dusz zagasyłych tłumy
leczą na ziemię jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie krysztali i ścina,
i rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
przechodzi w ludzkie czuciem zardzewiałe twory:
i będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
oni widzieli, którzy z łona Boga spadli
i po schodzących szczeblach szli w otchłań — i bladli.

W duszy dziecinnej woli czarnoksięska siła,
ciągłym myśleniem, ciągłym rozwijana snuciem,
nie wyjawiona słowy — często w ludzi biła.
Zaczarowanie wołą nazwali — zacuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła
i pośród tłumy ludzi jej wzrok, w zadziwieniu
nieobłądnie rzucony, na twarz dzieci padał,
jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
jak gdyby ją po znanym wołali imieniu.

Nieraz starszy, błękitne topiąc w ziemię oczy,
mówił: „Słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy?
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla

smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! Twoje myśli świetniej w słowach płoną,
niż gdy w sercu zamknięte — moje myśli gasną,
słów nie cierpią — lecz nieraz w godzinie tajemnic
tłumnymi słowy w piersiach jak szatany wrzasną
i wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
abym je wywiódł na świat — słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezję — dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli — mam przepaść wiecznie czezę my-
[ślami,

przepaść ciemną, głęboką; napelnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłym gniciem
myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami,
stanę się myśli grobem — lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja niewstrzymana w te krainy goni,
chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
chciałbym jak liść nieznaną paść tam, w głębi lasów.“ —

Gdy tak marzył — to wiśnie i kwiaty ogrodu
bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła
i wkrótce marzeniami ognistymi Wschodu
zamknęła go w płomieni kole i obiegła.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy,
gdzie długo patrzył w Koran, zwierciadło kalifów;
albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki miał wziąć kij pielgrzyma.

Przez te trzy lata dziecko z czarnymi oczyma
poznało miłość. — Pierwszą i ostatnią była,
i najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy-aniola,
czarnymi weń oczyma patrzyła i bladła
myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas lży łała.
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała

czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
ze wspomnieniami szczęścia — chciała zbroić niemi
przeciwko własnej duszy i czczym chwilom ziemi;
więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
a słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
że we wspomnieniach dziecka złane dały dźwięki
podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu
i nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło
dziwnym wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło
i rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia
wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
śmiejch nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
smutny i połamany przyszłością niepewną,
i na wesołą chwilę twarzą patrzył rzewną;
a nieszczęście przyjmował półsmutnym uśmiechem,
patrzając na nie z przyszłości. — Był to wzrok wędrowca,
co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca
i stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
gdy pod ich końmi iskry sypały się z głązów,
mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
jak do snu kołysani — marzący jak we śnie.
A dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie,
po takich mowach ludzi chroniło się tłumem
i biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosa
kładał się bladą twarzą — sosn słuchając szumu;
tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
a myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
jak gwiazdy ogromnymi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą — wtenczas na oblicze
padało światło lasów — promień słońca złoty,
pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.

A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity nad głową mu odmykał gałęziste bramy, skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach ów drugi młodzieniec powrócił biegly wschodnich narodów tłumaczyć się mową. W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił i rzekł: „Odjeżdżam na wschód, w krainę palmową“. A potem umilkł nagle. O jakże odmienny od marzącego dziecka — pobladł — jego oczy obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny, widać, że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy i wbija go do ziemi. — Jakaś tajemnica niedocieczona spała w rysach martwych lica. Mało mówił — i tylko raz wśród dzikich sosen wykrzyknął z obłąkaniem: „Ginę marzeń zdradą! Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen. Chcą mię zabić!“ — a potem uśmiechnął się blade i resztę zamknął w serca głębokim tajniku. Potem, wzięwszy uściski matki, druhów bratnie, odjechał — i w drugiego dziecka imionniku zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:

„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił,
wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci“.

Wkrótce potem... pamiętam... o księżycu wschodzie drugie dziecię wśród ciemnej dębowej ulicy siedziało pochylone przy stopach dziewicy. Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych; na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych, księżyc płynął samotny, las szumiał daleki. Tego wieczora dziecię ustami drżącemi anioła snów dziecinnych żegnało na wieki; a potem bladą twarzą upadło do ziemi jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące. Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka przecuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące, wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,

światna okrzykiem ludzi — a z tymi obrazy
obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem,
serce jak kryształ w setne porżyło się skazy
i tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
wyobraźnia złotymi rozkwitała farby
i kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga.
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny;
ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
stała otworem ludziom, lecz by się w nią dostać,
musieli wprzód jak wielcy szatani Milтона
zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...
Wzniósł twarz... już nad nim młodej nie było dziewczicy;
długo dumał... bo księżyc pół nieba przepłynął
i patrzył drugą stroną dębowej ulicy
jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany patrzył w księżyc błady,
potem nagle, uspioną budząc się pamięcią,
wydobył pismo, całą zamknięte pamięcią,
i przy księżycu świetle czytał nieruchomy;
na nieznanym liście podpisał nieznanym,
a w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił...
Niewinnej wesołości długie puścił wodze
i przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem,
jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
potem wielkie strzemienne podano kielichy...
Żegnał się — za łzy dawał wesołe uściski
i pucharem o nasze puchary uderzył.
Odszedł. Wtem uctujących strzał przeraził bliski;



tłumem biegliśmy w jego komnatę... już nie żył.
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni.
Spoczywa na rozdrożu — wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu.
Ten wypadek dom cały napelnił żałobą.“

Oto jest romans życia nie skłamany w niczem...
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
a drugie z odwróconym na przeszłość obliczem
rzuciło się w świat ciemny... powieść nie skończona...

[1832]

[W SZTAMBUCHU MARII WODZIŃSKIEJ]

Byli tam — kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
gdzie w cieniu sosen — Bożym strzeżone napisem —
stoją białe szalety wiązane cyprysem;
gdzie w łąkach smutnie biją trzód zbłąkanych dzwony,
gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,
gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach — wróconym ojczyźnie pielgrzymom
bławatkami gwiazdziste kłaniały się żyta.
Jechali — błogosławiąc chat wieśniaczych dymom —
wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita
synów, braci, przyjaciół — są wszyscy! są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych;
a wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy.
I nikogo nie braknie oprócz zapomnianych.

Młoda Maria do tańcu każe stroić lutnie
i usiadła — spoczywa... nagle do sąsiada
rzekła: — „Ach, kogoś braknie?“ — tu podkówka utnie
w takt mazurka — „On umarł“ — sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?“ —
— „Słowików gromada
śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
że brzoza płacze.“

[1835]

ROZŁĄCZENIE

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta;
pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
i nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta;

wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna jak gwiazda, co się tam zapala
i łąą różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
znając twój dom — i drzewa ogrodu, i kwiaty,
wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
pod oknami, i nazwać jeziora błękitem.

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
w dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;

nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze,
dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy
jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Lemna, d. 20 lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO DO ***

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
szczęścia mego na ziemi; ty żądałem godziny
wyrwałaś na samotność! Bądź wiecznie przeklęta!
Każdy mój jęk — zna ciebie, każda łza — pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy;
toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
i jęcząc — z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem... Dziś samotny jestem.
Lecz wiedz, iż samotności okryty żałobą,
oczy moje obracam za każdym szelestem,
czekam — ale nie ciebie... Tęsknię — nie za tobą!

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
która mi była siostrą na wygnaniu ziemi;
myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
tę, co w duszę oczyma patrzy anielskiemi,

a nigdy serca mego nie umiała krwawić,
a tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty! a ty! co lałaś żółciowe gorycze,
skoro się otwierała serca mego rana...
O! gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
złej przeszłości — przeklęta bądź! i zapomniana!

[1835]

SUMNIENIE

Przekląłem... i na wieki rzuciłem ją samą,
i wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
jużem się od niej długim rozdzielił jeziorem.
A gdy się toń jeziora księżycową plamą —
osrebrzała, gdy wichry zawiewały chłodniej,
jam jeszcze leciał — jeszcze uciekałem od niej.

I może bym zapomniał — bo koń leciał skoro,
bo mi targały myśli tętniące kopyta.
Gdzie ona? — oszukana — przekłeta — zabita...
Patrzę na niebo, księżyc, na gwiazdy, jezioro...
Wszak jęk tu nie doleci, wszak łez nie zobaczę.
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I może bym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
blada światłość księżycy, krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowymi kręcę,
wszędzy mnie księżycowa kolumna dopadła:
jakby się ta kobieta do stóp moich kładła
i niema płaczem za mną wyciągała ręce.

Paryż w kwietniu 1836.

H Y M N

Smutno mi, Boże! — Dla mnie na zachodzie
rozlałeś tęczę blasków promienistą;
przede mną gasisz w lazuruwej wodzie
gwiazdę ognistą...
Choć mi tak niebo ty złocisz i morze,
smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
stoję rozkoszy próżen i dosytu...
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
ciszę błękitu;
ale przed tobą głąb serca otworzę,
smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
patrzę na słońce, co mi rzuca z fali
ostatnie błyski...
choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
widziałem lotne w powietrzu hociany
długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
żem prawie nie znał rodzinnego domu,
żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
przy blaskach gromu,
że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
w straż nie oddane kolumnowym czołom;
alem jest jako człowiek, co zazdrości
mogił — popiołom...
Więc że mieć będę niespokojne łożę,
smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
modlić się za mnie co dzień... a ja przecie
wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
płynąc po świecie...
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
anieli twoi w niebie rozpostarli,
nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
patrzący — marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
smutno mi, Boże!

Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandrią [1836].

DO Z. KRASIŃSKIEGO

Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary!
coś przyszedł robić z moim sercem czary,
coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
wyrwał je z piersi, wziął we własne łono.
ogrzał, oświecił, by nie poszło w trumnę,
ani spokojne mniej, ani mniej dumne...

Więc gdzieś wysoko, u Boskiego celu,
chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu,
a dla mnie pokój, dla ducha i kości,
bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
lecz jeśli walka jest — daj mi serce!

Florencja, 4 grudnia 1838 r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE DO LAURY

Dawniej bez serca — dziś bez rozumu,
o biedna Lauro! nim zginę,
dla ciebie z głuchych pamiątek tłumu
wianek Ofelii uwinę.

Ty go drżącymi weźmiesz rękoma,
jak wąż ci czoło okręci.....

Oto bławatki, ruta i słoma,
a to są kwiaty pamięci.....

Burza żywota nad nami mija,
przeminie — lecz głowę zegnę.
Śmiech nie pociesza — ból nie zabija,
wkrótce i rozum odbiegnie.

Cicha spokojność nigdy nie wróci,
zniszczenia wichur nie wionie,
słońce nie cieszy, księżyc nie smuci.....
a w nicość śmierć nie pochłonie....

Strętwiałość! — za cóż ten zimny kamień
na serca nasze się wali?

Ześmy się niegdyś w kraju omamień
na jednej drodze spotkali?

Że cię tak długo dźwiękami lutni
budziłem i do snu kładłem?

A ty, smutniejsza niż ludzie smutni,
za innym biegłaś widziałem.

I coraz wyżej w niebo lecąca
niknęłaś w marzeń lazurze;
i roztopiona w blasku miesiąca
zwiędłą rzuciłaś mi różę.
I nie wiem nawet, czy z twego czoła,
czy twoją skropiona łezką,
czy mi jakiego ręka anioła
rzuciła różę niebieską.

Ciemność twej duszy jak dżumy plama
od ciała przeszła do ciała.
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
którąś ty w serce nałala.
Widzisz, jak zagaśł dziecka rumieniec,
gdzieś ty oddechem przebiegła.
Nie laur na głowie — lecz z ognia wieniec
tyś skrami oczu zażęgła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
ogniami czoło mam sine;
a jakąś dumą drży moja warga,
że w tych płomieniach nie ginę....
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
nie biegnąc za szczęśnych śladem,
przeklinam ciebie bladością czoła!
Serca przeklinam cię jadem!

Więc niech mię prędko chmury czarnemi
porywa wicher nicości!
bo już przekląłem wszystko na ziemi,
wszystko — w aniele przeszłości.
Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
i falą powraca ciemną,
nie mię nie żegna, nie mię nie czeka,
nie za mną! i nie przede mną!

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
lecieli z szumem po niebie,
ja nieruchomy — gwiazdą żrennicy
patrzyłem w przeszłość — na ciebie.

Dziewice ziemi nieraz spostrzegły
łzawymi oczu błękity,
że oczy moje za tobą biegły,
żem był na sercu zabity.

Okruszynami serca, miłości
karmiłem blade widziadła...
ale łza taka, jak łza przeszłości,
na żadne serce nie spadła.
Jak moje oczy topią się — mdleją,
jak myśli rzucają ze dna,
jak iskry sypią, jak łzami leją,
ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz smutny przeszłości echem,
o ludzie, idę za wami,
choć śmiech wasz dla mnie szalonych śmiechem,
łzy wasze — szalonych łzami.
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
i zimnych uściskiem prawic,
duszę mi od was wichry uniosą,
lecz wichry pełne błyskawic.

• Paryż 1839.

[DO PANI JOANNY BOBROWEJ]

O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady!
to tak jak ludzie przyjaciołom wierni
aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci błady
śród leszczyn w Gisbach — a śród laurów w Terni.

Dzikię bym zrywał na murawie kwiaty,
a Pani w skałach siadłabyś myśląca,
jak anioł skrzydłem kaskady skrzydlaty; —
czekając znad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ja Panią do kaskady woził,
może bym wieczną tam zatrzymał siłą —
śpiewem skamienił i lodem zamroził,
i kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Lecz nie powiodę do takiego zdroja,
bo teraz straszna jest ducha kaskada;
to cały duch mój i cała krew moja,
która na Polskę chce upaść — i spada.

Raz ty porwana tym strumieniem gminnym
byłabyś nigdy nie wrócona światu;
dlatego poszłaś gdzie indziej — z kim innym,
ręki się bojąc dać dawnemu bratu.

Bo dzisiaj Polka ciekawość pokona,
a jej nie karmi to, co tłum paryski,
gdy w sercu Polska duchem urodzona
jak Nimfa wstaje z perłowej kołycki.

Dzisiaj siedzącej przed kaskadą w koczu
sumnienie Pani powie samo głuche...
że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu!
a dzisiaj! oczy patrzą — takie suche!

Czyś tym przeklęta? czy błogosławiona?
że serce zimne — oczy łez nie leją?
Powie Ci kiedyś mógł druga strona,
gdzie serca pękną — albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta —
serce kobiece na czas przeanielić! —
Dlatego odtąd — wiecznie zamknę usta;
i wolę nie być z Panią — niż zgon dzielić.

Bo to okropnie! rany pozamykać,
zagoić wszystkie dawne serca blizny! —
Iść — i aniołów już nie napotykać!
Już nie mieć ani serca! — ni Ojczyzny!

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
a taką Ciebie między tłumem zoczył,
zleciałbym na Cię jak kaskada z góry,
porwał — rzucił w przepaść — i sam skoczył.

d. 14 Maja. [1842]

Paryż.

DO PASTERECZKI SIEDZĄCEJ
NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC
NAD OCEANEM

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
duszczo moja mała,
słoneczna i miesięczna,
prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała,
z główką w zorzy pierścieniach,
na Druidów kamieniach;
śród jałowcowych krzaków
ćwieki twoich chodaków
błyskały mi na lice
jako dwa półksiężycy
czerwoną zorzą ranną;
i byłaś mi zarazem
chłopieczką i Dyjanną,
zjawieniem i obrazem,
kochanką i dziecięciem,
smutkiem — i niebowzięciem.

Włoski twoje jak zboże
złote i przezroczyście
wiatr unosił na morze,
a we włoskach ogniste
ranunkuły doliny,
jak maki Ukrainy,

zdawały się ogniami,
które tobie do lica
przypięła upioryczyca
śpiąca w grobie pod nami.

Za tobą — szafir mórz
dzielił kibić na dwoje;
nad głową — jak zawoje
jutrzenki pełne róż
i chwasty w dyjamentach
około ciebie skrzyły,
a ty na monumentach,
stróżka — i duch mogiły,
z niewinnością na licach,
z nóżkami na księżycach.

[1843—1844]

[W PAMIĘTNIKU ZOFII BOBRÓWNY]

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
to każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
będą ci całe poematy składać.
Ja bym to samo powiedział, co one,
bo ja się od nich nauczyłem gadać;
bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
hylem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
i dalej mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

WSPOMNIENIE PANI DE ST. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX

(14 stycznia 1846)

Staruszko moja! o staruszko moja,
twoje mieszkanie takie wonne tobą.
Na murach twoich jak z obrazów zbroja,
a każdy obraz był jakąś osobą.
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża — i bez towarzysza,
który niedawno ciebie odszedł stary,
przycichłaś w domu — dziś ta sama cisza
w domu — a w bramie stoją twoje mary.
Gdym szedł... myślałem, że szata szeleszcze,
ogień się palił — zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność... dziwne jakieś mroki
nad twym kominem — nad twoją kotarą,
jakby te dziwne śmiertelne obłoki,
które zmieniają dzień w godzinę szarą,
a człowiekowi bronią słów i ruchów,
bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła,
przez krew szły twoje panięskie nożeczki,

przez smutek starość szła twoja pochyła,
a w trumnie leżą już tylko kosteczki;
wszystko wybrała ze skarbu żywota,
czemuż po tobie — ta wielka tęsknota?

Może dlatego, że gdym twoje ściany
odwiedzał... dawno światem niezabawne,
to spotykały mnie Republikany
i wielkich imion — dawne duchy sławne,
i wszystkie stały z odkrytymi głowy,
słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
a ty myślałaś, że ja sobie drzemię,
jam na mownicy stał w tych duchów gminie
i brałem sobie między nimi — imię;
od głów zaczynał — i do serc im sięgał,
i znów na wielką ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krzesle, pod zamęt
cicha, podobna do Park — życia matek,
byłaś jakby tych sejmów prezydentem
Duchem — próchenko ciała i opłatek,
co miejsca przez lat dziewięćdziesiąt bronił,
a nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dlatego ja cię czułem pod suchą kością
dobrą, choć ludzie o złość oskarżali,
tyś sławne imię nosiła ze złością;
a ja sam także mam to, co mię pali,
gdym jest wielkimi burzami natchnięty,
a w burzach nawet czuję się sam święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
czułem dziś patrząc na złoconą ścianę.
Żegnajże, cicha staruszczyko moja,
a popamiętaj — na sejmy zerwane
i pomóż zgają twoich duchów tłumną
mnie, który szedłem dziś jeden — za trumną.

[DO MATKI]

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
widząc powracających i ulaskawionych,
kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja
i tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że bym ci wróceniem moim lat przysporzył; —
mów, kiedy cię pytają, czy twój syn powraca,
że syn twój na sztandarach jak pies się położył,
i choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
lecz woli konający — nie iść na obroźę,
lecz woli zamiast hańby — choć czarę rozpaczy!

Przebacże mu, o moja ty piastunko droga,
że się tak zaprzepaścił i tak zaczęścił;
przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
trzeba by — to by ciebie pewno nie opuścił.

[1847?]

BO TO JEST WIESZCZA NAJJAŚNIEJSZA
CHWAŁA

Bo to jest wieszczka najjaśniejsza chwała,
 że w posąg mieni nawet pożegnanie.
Ta kartka wieki tu będzie płakała
 i łez jej stanie.

Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę,
 ja kończę moje na ziemi wygnanie,
ale samotny — ale łzami płynę —
i to pisanie...

[1848]

LIRYKA IDEOLOGICZNA

HYMN

Bogarodzica! Dziewico!
słuchaj nas, Matko Boża,
to ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
wolności bije dzwon,
wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
wolnego ludu śpiew
zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos, rycerze,
niech grzmią wolności śpiewy,
wstrząsną się Moskwy wieże;
wolności pieniem wzruszę
zimne granity Newy;
i tam są ludzie — i tam mają duszę...

Noc była... Orzeł dwugłowy
drzemał na szczycie gmachu
i w szponach niósł okowy...
Słuchajcie! zagrzmiały spiże,
zagrzmiały... i ptak w przestrachu
uleciał nad świątyn krzyże.
Spojrzał — i nie miał mocy
patrzeć na wolne narody;
ośniony blaskiem swobody
szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.

O wstyd wam! wstyd wam, Litwini,
jeśli w Giedymina grodzie
odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini
ten naród — gdzie czczą w narodzie
krwią zardzawiały korony.

Wam się chylić przed obcemi,
nam we własnych ufać siłach;
będziem żyć we własnej ziemi
i we własnych spać mogiłach.

Do broni, bracia! do broni!
oto ludu zmartwychwstanie
z ciemnej pognębienia toni,
z popiołów Feniks nowy
powstał lud — błogosław, Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzica! Dziewico!
słuchaj nas, Matko Boża,
to ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
wolności bije dzwon
i wolnych płynie krew.
Bogarodzico!
wolnego ludu krew
zanieś przed Boga tron.

[1836]

DUMA O WACŁAWIE RZEWUSKIM

Po morzach wędrował — był kiedyś farysem,
pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba,
odwiedzał Proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy.
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy
i stał przed kościołem i kornym bił czołem,
jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie
i życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie;
błądzący po świecie, zaufał w sztylecte,
bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał harem kruzganki,
by odciąć drabinę, wziął sztylet kochanki;
choć broń była żeńska, lecz stał damasceńska,
hartowna — i złota główica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
o sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
„Żyj długo — bądź zdrowa, dziewico stepowa,
twój sztylet połóży mnie w grobie.

„Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
bo dziką mam duszę. Więc sztylet mieć muszę,
twój sztylet mieć muszę przy sobie.“

Smutnego uniosły arabskie latawce,
bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce,
pod oknem w ogrodzie, fal koła na wodzie
i białą zasłonę... O Lachu!...

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do nóg kłaniała się złota,
i marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
posnęli — gdy błędził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznanany nikomu,
lecz jeszcze z dziedzina, od wrót swego domu
odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
gdzie błędzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
i koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
i wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
nad ciemnym Smotryczem — gdzie orzeł żył biały
i wił sobie gniazdo; nadziei był gwiazdą,
po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany
i żłoby pozłacał — z kryształu dał ściany.
Przed cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
szybkiego tak konia — więc każdy oniemiał
i był jakby głazem pod cara rozkazem,
a były rozkazy co krwawsze.

Raz starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
ten Emir arabski w dzień Pańskich narodzin,
na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
połamał opłatek i spożył.

A potem jak przodków święcono zwyczajem,
wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
„Żyj, Polsko, wiek sławy!“ Wtem goniec z Warszawy
przyleciał — zawołał: „Kraj ożył!“

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
a za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
w czerwieni i w bieli po stepach płynęli,
po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg błyszczący od stali
zrównanym galopem jak morze się fali;
gdzie słyhać dział huk, tam lecą buńczuki,
jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira Kozaki, gdy błędzą przez wrzosa,
umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła — stepowa mogiła,
pieśń grmiącą: „Ho urra! nasz Emir!“

Do cara pieśń doszła — wściekłością się pienić
i głowę Emira na ruble ocenił;
bo myślał, że w kraju z hordami Nogaju
Czyngiskan szedł — Batt — lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski jak Arab stepowy
płachtami rumakom ogłuszyć podkowy
i cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
podkradać się — bić — i brać działa.

Więc ściągnął jak wszyscy ściągali pod Daszów,
gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
z wesołym okrzykiem stanęła w mur szykiem
i chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
ujrzeli Moskalów — straż przednią i Dońce.
Mur dział jak mur złota, a za nim piechota,
w bagnety porośla jak zboże...

I cicho... Wtem bomba śmierciami ciężarna
upadła w szeregi, zwichrzona i czarna.
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
do nieba wołali: — „O Boże!“

I razem bomb tysiąc zaryło się w stępy,
rozpękłe wręciami ciskały czerepy
i grzmiały dopokąd — piechoty czworokąt
nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ścisnął, w żelazne brał skręty.
Przednimi nogami na bagnet koń wspięty,
tak jak oczerety połamał bagnety,
w złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi — choć bój był rozpaczny...
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:
„Konnica na skrzydła!“, zwinęli wędzidła,
odbiegli — ostygli w zapale.

I popłoch się wmieszał — ów, co był przyczyną
wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił
i sam się zastrzelił na dziale.

On może wśród bólów ostatnich zgryzoty
pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła —
ma łzy, a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni,
ujeżdżał z rozpaczą — choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza, gdy szczyrby nie miecza
powlekły — jak perły różańca?

A kiedy opuszczał kraj miły — rodzony,
znów księżyc się wznosił na stepach czerwony...
„Leć prędzej po błoni, odpoczniesz, mój koniu,
gdy w ziemi staniemy tureckiej.

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
Czyś złaman w kul wiatrze? Stój, koniu — opatrzę,
czy nie ma gdzie kuli zdradzieckiej!

„Ha zdrowy!... to dobrze... lecz jechać w noc trudno.“
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty,
zmęczony, zalegał na ziemi...

I zasnął głęboko — bo trud go osłabił...
śpiącego od cara najęty chłop zabił
i sztylet dziewicy do złotej głowy
w pierś nurzył rękami drzącemi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała?
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
na wieki w twym sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej
i miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się car ruski, że Emir Rzewuski
w stepowym śpi cicho kurhanie.

[1832]

PARYŻ

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
powstają gmachy połamanym składem,
jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
gdzieniegdzie ulic przeświecone śladem.
Gmachy skręconym wydają się gadem:
zębata dachów łuską się najeża.
A tam — czy żądło oślinione jadem?
czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko — strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodom! pośród twych kamieni
mnoży się zbrodnia bezwstydną widomie
i kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
lecz nie deszcz Boży, nie zamknięty w gromie:
sto dział go pośle... A na każdym domie
kula wryje straszny wyrok Boga,
kula te mury przepali, przełomie,
i wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
i większa jeszcze rozpacz — bo to kula wroga...

I już nad miastem wisi ta dział chmura,
dlatego ludu zasępione tłumy,
dlatego ciemność ulic tak ponura,
przecuciem nieszczęść zbłąkane rozумы;
bez echa kona słowo próżnej dumy,
o wrogach ciągle toczą się rozmowy...

a straż ich przednia, już północne dżumy
obrońców ludu pozwiewały głowy,
i po ulicach ciągly brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,
co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli?
Lud cały kona, katy i obrońce,
dnia im nie stało, aby się wysiekli;
i przeczuwając krwawej zorzy końce,
jak Jozue wołali: Dnia trzeba — stój, słońce!

I nie stanęło — pomarli — przedwcześnie,
lecz zostawili pamiątki po sobie:
kraj po rozlewie krwi tonący we śnie
i lud nie po nich ubrany w żalobie,
krwi trójcę w jednej wcieloną osobie.
Ten jak Rodyjski posąg świecznik trzyma
i jedną nogę wsparł na martwych grobie,
drugą na zamku królów... Gdzie oczyma
sięgnął — tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg zwałił się z podstawy,
tysiące ludu sławą się dzieliło,
każdy się okrył łachmanem tej sławy,
każdemu było dosyć — nadto było...
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą
i pod kolumną spiżu wszyscy posną;
choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
choć na niej może jak na gruzach z wiosną
chwasty i z liliami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
w nędzy — i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany —
smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
I całej nędzy nie wyjawię światu...
Twarze z marmuru, serca marmurowe —

drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
schnie, gdy wygnaniec złożył pod nim głowę,
jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

Z dala od miasta szukajmy napisów,
gdzie wielki cmentarz zalega na górze.
O jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
poblądle w cieniu chowają się róże!
A pod stopami — dalej miasto w chmurze
topi się we mgłach gasnących opalu...
A dla żałobnych rodzin przy tym murze
przedają wianki z płótna lub z perkalu,
aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską: oto wież ostatki,
gotyckim kunsztem ukształcona ściana,
rzekłbyś, że zmarła matka twojej matki.
w czarne brabantkie koronki ubrana,
z chmur się wychyla jak duch Osyjana...
Ludzi nie dojrzysz — lecz nad mgłami fali
stoją posągi, gdzie płynie Sekwana —
jakby się w Styksu łodzi zatrzymali
i przed piekła bramami we mgłach stoją biali...

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,
a na nim siedział wyrobnik umarły...
Przez dnię lipcowe panowała mara,
u nóg jej ludzie snuli się jak karty,
bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
wielkość olbrzymią. Był to król narodu —
i aksamity krew mu z czoła starły —
lecz jego dzieci umierały z głodu;
zaczął dynastią trupów — był ostatnim z rodu.

[luty 1832]

RZYM

Nagle mnie trącił płacz na pustym błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem.“
Tak śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przede mną mroczne błękitnawym dymem
sznury pałaców pod Apeninami,
nad nimi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
okrętów tłum jako łabędzie stado,
które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
poranny zachwiał wiatr i pędził dalej
jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
ci aniołowie fal — a ja zostałem
w pustyni sam — z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
jak wtenczas — gdy mię spytało w pustyni
słońce, szydzący Bóg, — czy Rzym widziałem?...

[1836]

[ROZMOWA Z PIRAMIDAMI]

Piramidy, czy wy macie
takie trumny, sarkofagi,
aby miecz położyć nagi,
naszą zemstę w tym bułacie
pogrześć i nabalsamować,
i na późne czasy schować?

— Wejdz z tym mieczem w nasze bramy,
mamy takie trumny — mamy.

Piramidy — czy wy macie
takie trumny, grobowniki,
aby nasze męczenniki
w balsamowej złożyć szacie;
tak by każdy na dzień chwały
wrócił w kraj choć trupem cały?

— Daj tu ludzi tych bez plamy,
mamy takie trumny — mamy.

Piramidy, czy wy macie
takie trumny i łzawice,
by łzy nasze i tęsknice
po ojczystych pól utracie
zlać tam razem — i ostatek
czary dolać łzami matek?

— Wejdz tu... pochyl blade lice,
mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie
takie trumny zbawicielki,
aby naród cały, wielki,
tak na krzyżu, w majestacie
wnieść, położyć, uspić cały
i przechować — na dzień chwały?

— Złóż tu naród, nieś balsamy,
mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy została
jeszcze jaka trumna głucha,
gdziebym złożył mego ducha,
ażby Polska zmartwychwstała?

— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
bo twój naród nieśmiertelny;
my umarłych tylko znamy,
a dla ducha trumn nie mamy.

[1836]

NA SZCZYCIE PIRAMID

Jak dwaj czarni — z białymi skrzydłami anieli,
dwaj Arabcy na rogach pomnika stanęli,
ja na głazie najwyższym chciałem zebrać wzrokiem
cztery ściany, spadnistym lecące potokiem,
i nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
być słońcem... i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabcy stali cicho — za nimi zwierciadłem
był sklep błękitu... w niebo — spojrzałem... i siadłem
patrząc na różnych wkoło napisów kobierce.
Cicho... zegarek słyszę idący... i serce...
czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągly,
świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Z dala Kair... Nil... łąki — daktylowe laski...
bliżej pustynia... złotem oświecone piaski...
bliżej trzy drzewa... figa... pod nią cienia chłodnik,
a w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich myślałem... o mrówce ze srebra...
Bliżej dolina piasku — cała w równe żebra
wichrem zmarszczona... i Sfinks, i grobowce białe —
ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo... inna była scena:
naprzeciwko Cheopsa — stał pomnik Cefrena,
tak że orzeł po równej krainie błękitu
mógł płynąć od jednego — do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wawóz tworzyły głęboki,

a zachodniego słońca czerwone potoki
jakby falami ognia płynęły tamtędy,
lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
chylił się do zachodu...

I większy był jeszcze
widok w myślach — na wieki lecące jak deszcze
po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił — i w grobie pochował,
zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
i że płynął czerwony... wypadków posoką;
a tak myśląc, po głazach obłąkane oko
padło na jakiś napis — strumień myśli opadł:
ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
polskim językiem groby Egipcjanów znacząc...
Czytałem smutny... człowiek może pisać płacząc.

[1836]

UŁAMKI

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
obrócił na północ twarzą
i kazał prorokować hymn wrący, szalony.

Narody ziemskie! kiedy was porażą,
kiedy stracicie nadzieje,
słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

A naprzód temu, co krew waszą leje
przez usta, piersi i skórę, i oczy,
i znużony jest zemstą, i nie mdleje,

trzy przekleństwa posyłam i duch proroczy,
co ma jak szatan szpony ogniste i skrzydła,
i robaczkliwy ząb, co trupy toczy.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła,
na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
duszy mojej spoczynek był — lecz mi obrzydła;

bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi,
nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
struny na lutni tej i nigdy więcej
już nie obudzę ich, — bo są bezczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
wyrazów słodkich, miłych, miłosnych umiały
i uspić smutne serce umiały najprędzej.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały
powtarzające wszystko, co słyszą dokoła,
albowiem wszystko płacz, co usłyszały.

Została jedna ta, co teraz woła:

O! wy, co w prochu myśli mażecie i serca,
z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

[1837]

UŁAMEK Z GRECKIEJ PODRÓŻY GRÓB AGAMEMNONA

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
wtóruje myśli posepnej i ciemnej;
bom oto wstąpił w grób Agamemnona
i siedzę cichy w kopule podziemnej,
co krwią Atrydów zwałana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
której mi tylko echo wieczne słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
i ma Elektry głos — ta bieli płótno
i odzywa się z laurów: Jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
kłóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo;
tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
napędza nasion kwiatów — a te puchy
chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
przed nadgrobowym pochowane słońcem,
jakby mi chciały nakazać milczenie,
sykają. — Strasznym jest Rapsodu końcem
owo sykanie, co się w grobach słyszy —
jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

O! cichy jestem jak wy, o Alrydzi!
których popioły śpią pod świerszczów strażą.
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
tu w tym grobowcu — sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
posadziły go wróble lub gołębie,
i listkami się czarnymi zieleni,
i słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
zerwałem jeden liść z czarnego kuszca.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
ani w gałązkach jęknęło widziadło;
tylko się, słońcu stała większa szpara,
i wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
blask, była to struna z harfy Homera.

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
by ją ułoić i napiąć, i drżącą
przymusić do łez i śpiewu, i złości
nad wielkim niczym grobów i mileżącą
garstką popiołów: — ale w moim rękę
ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój na grobowcach siadać
i szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój senne królestwa posiadać,
nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
albo umarłych — i tak pełny wstępu...
Na koń! chcę słońca, wichru i tętentu.

Na koń! — Tu łozem suchego potoku,
gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
ze łzą i z wielką błyskawicą w oku,
jakby mię wichur gnał błyskawicowy,
lecę, a koń się na powietrzu kładnie —
jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
trzeba się memu załamać koniowi,
bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
dla małowiernych serc podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
to tej mogiły — co równa jest — naszej.

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
odgonić legion umarłych Spartanów;
bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów,
z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
osadzić konia w wąwozowym szlaku,
bo tam być muszą tak patrzące twarze,
z serce skruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem.

Na Termopilach — jaką bym zdał sprawę?
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
i pokazawszy mi swe piersi krwawe
potem spytali wręcz: — „Wiele was było?
Zapomnij, że jest długi wieków przedział“.—
Gdyby spytali tak, — cóż bym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
bez czerwonego leży trup kontusza:
ale jest nagi trup Leonidasa,
jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
i długo płakał lud takiej ofiary
ognia wonnego i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską
będziesz więziła w czerepie rubasznym,
póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
póty mieć będziesz hyjenę na sobie
i grób — i oczy otworzone w grobie.

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
tę — Dejaniry palącą koszulę;
a wstań jak wielkie posągi bezwstydne,
naga, w styksowym wykąpana mule,
nowa — nagością żelazną bezczelna —
niezawstydzona niczym — nieśmiertelna.

Niech ku północy z cichej się mogiły
podniesie naród i ludy przełęknie,
że taki wielki posąg — z jednj bryły,
a tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
ale z piorunów ma ręce i wieniec;
gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzą;
pawiem narodów byłaś i papugą,
a teraz jesteś służebnicą cudzą.
Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
w sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
mówię — bom smutny — i sam pełen winy.

Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza
jak Eumenida przez węzowe różgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna,
lecz wiedz — że ręką przekleństw wyciągnięta
nade mną — zwinie się w łęk jak gadzina
i z ramion ci się odkruszy zeschnięta,
i w proch ją czarne szatany rozechwyć;
bo nie masz władzy przekląć — Niewolnico!

[1839]

TESTAMENT MÓJ

Żyłem z wami — cierpiałem i płakałem z wami,
nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
a jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
ani dla mojej lutni — ani dla imienia —
imię moje tak przeszło jako błyskawica
i będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.—

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
żem dla ojczyzny sterał moje lata młode,
a póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
a gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
mojej biednej ojczyzny — przyzna kto szlachetny,
że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
lecz świetnościami dawnych moich przodków
światny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
i biedne serce moje spalą w aloesie,
i tej, która mi dała to serce, oddadzą:
tak się matkom wypłaca świat — gdy proch
odniesie...

Niech przyjaciele moi siądą przy pucharze
i zapiją mój pogrzeb — oraz własną biędę:
jeżeli będę duchem — to się im pokażę,
jeśli Bóg uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
i przed narodem niosą oświaty kaganiec,
a kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu družbę
tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
i zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
iść...: taką obojętność jak ja mieć dla świata?
być sternikiem duchami napełnionej łodzi
i tak cicho odlecieć jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

[1839—1840]

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA

I

I wydarto go z ziemi — popiołem;
i wydarto go wierzbie płaczącej,
gdzie sam leżał ze sławy Aniołem;
gdzie był sam — nie w purpurze błyszczącej,
ale płaszczem żołnierskim spowity,
a na mieczu jak na krzyżu rozbity.

II

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
królewiczu, dowódzco korabli?
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie?
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

III

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
co mu kamień grobowy rozkruszy,
ale myślał, że ręka go syna
w tym grobowcu podźwignie i ruszy,

i łańcuchy zeń zdejmie zabojcze,
i na Ojca proch zawoła — Ojczy!

IV

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
obce twarze zajrzały do lochu;
i zaczęli prochowi urągać,
i zaczęli nań wołać: „Wstań, prochu!“
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
i spytali — czy chce do ojczyzny?

V

Szumcie! szumcie więc, morza lazury,
gdy wam dadzą nieś trumnę olbrzyma.
Piramidy! wstępujcie na góry
i patrzajcie nań wieków oczyma.
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
to jest flota z popiołmi Cezara.

VI

Z tronów patrzą szatany przestępne,
car wygląda blady spoza lodów,
orły siedzą na trumnie posępne
i ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły, niegdyś zdobywcze i dumne,
już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
gdy usłyszysz trąby wśród oddechu;
bo nie będzie to hasło do wojny.
ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty
i zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII

Ale nigdy — o nigdy! choć w rękę
miałeś berło, świat i szablę naga,
nigdy — nigdy nie szedłeś śród jęku
z tak ogromną bezśmiertnych powagą
i mocą... i z tak dumnym obliczem,
jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem.

1 czerwca 1840.

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA

1

Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitalu,
do żebrackiego mieli rzucić dołu.
Ani łzy jednej matczynego żalu,
ani grobowca nad garstką popiołu.
Wczora był pełny młodości i siły —
jutro nie będzie nawet — i mogiły.

2

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
karabin jemu pod głowę żołnierski!
ten sam karabin, w którym na panewce
kurzy się jeszcze wystrzał belwederski;
gdyby miecz w sercu lub śmiertelna kula —
lecz nie! — Szpitalne łoże i koszula.

3

Czy on pomyślał tej nocy błękitów,
gdy Polska cała w twardej zbroi szczękała?
gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
a trumna w chwili zmartwychwstałej pękła,
gdy swój karabin przyciskał do łona? —
czy on pomyślał wtenczas — że tak skona!?

Dziś przyszedł chciwy jałmużny odźwierny
 i przyszyli wiedmy, które trupów strzegą,
 i otworzyli nam dom miłosierny,
 i rzekli: „Brata poznajcie waszego.
 Czy ten sam, który wczora się po świecie
 kołatał z wami? — Czy go poznajecie?“

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto,
 nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną.
 Żrennicę trzymał na blask odemkniętą,
 ale od braci miał twarz odwróconą.
 Więcśmy rzekli wiedmom — by zawarły
 trumnę — bo to jest nasz brat — ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza.
 A jeden z młodszych spytał: „Gdzież go złożą?“
 Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
 „W święconej ziemi; gdzie przez miłość
 Bożą
 kładziemy poczet nasz umarłych tłumny
 w jeden ogromny dół — na trumnach trumny.“

Więc ów młodzieniec, męki czując szczerę,
 wydobył złoty jeden pieniądz drobny
 i rzekł: „Zaśpiewać nad nim Miserere.
 Niechaj ogródek ma i krzyż osobny.“
 Zamilkł; a myśmy pochylili głowy,
 lży i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
 pochwali tym, co krzyż na grobie gada:

że był w dziewiątym pułku kapitanem,
że go słuchała rycerzy gromada,
a dziś ojczyźnie jest niczym nie dłużny —
choć osobny ma kurhan — z jałmużny.

9

Ale Ty, Boże! który z wysokości
strzały twe rzucasz na kraju obrońce,
błagamy Ciebie przez tę garstkę kości,
zapal przynajmniej na śmierć naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy! —
Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy! —

D. 30 Paźdź. 1841.
Paryż.

TAK MI, BOŻE, DOPOMÓŻ

Idea wiary nowa, rozwinięta,
w błysnieniu jednym zmartwychwstała we mnie
cała, gotowa do czynu i święta.

Więc niedaremnie! o! niedaremnie
snu śmiertelnego porzuciłem łożo.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny — ale serce moje
może pomieścić ludzi milijony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli broje —
i ze mnie piorun mieć będą czerwony,
i z mego szczęścia do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Za to spokojność już mam i mieć będę,
i będę wieczny — jak te, które wskreszę —
i będę mocny — jak to, co zdobędę —
i będę szczęśny — jak to, co pocieszę —
i będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
nie dbam, czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
szmer kości, który na smentarzach słyhać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony
i drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażbym wszedłszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłymi,
dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Lecz tym, co idą — nie przez czarnoksiężstwa,
ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje —
w ich usta włożę komendę zwycięstwa,
w ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —
ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
mój krzyk — Ojczyzny całej będzie krzykiem,
mój duch — Aniołem, co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

Lipca 13. [1842]

POETA I NATCHNIENIE (URYWEK)

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
zwątpienie było — rozpacz nad zabitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
co by w niej martwej chodził siłą skrytą,
jak krew żyjąca? — Taki był mój lament,
który me oczy wnet zamienił w sito
siejące perły łez. A wtem od Boga
przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
i poruszyła gniazdo jaskółczychy;
z gniazda wypadła ptaszyna niewielka,
bez pierza, mały, zimny trupek, lichy;
więc potem tego dziecka rodzicielka
i ojciec w domek przylecieli cichy,
prosto do gniazda, do swojego kątku,
i nie znalazłszy swojego dzieciątka,

wyszli oboje. — Boże! z jaką wrzawą,
wie matka, której ludzie dziecko skradli;
wreszcie ujrzeni go pod moją ławą, —
oboje z niebios jak martwi upadli,
ojciec na lewo, a matka na prawo;
usiedli przy nim, a skrzydła tak kładli
i tak ciągnęli biedaczki za sobą
jak magnet, ciężką okryty żałobą.

Ale oboje... Śmierć tak była świeża,
tak niespodziana, taką zda się zdradą
niebios, że ojciec, matka nie dowierza, —
owszem, przy dziobku jeszcze mu żer kładą,
dziobkami ciała próbują i pierza.

A ono z główką wyciągniętą, bladą,
z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiarno cudna, rodzicielska.
o! długie, piękne tych serc niepokoje,
o cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —

Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
i wyżej... niż tam brzoza, nimfa sielska,
rozzuci swoje girlandowe zwoje,
podnieśli... myśląc, że w nim lot roznieci
życie, że z dziobków puszczone polecą!

Tak połączone przez biały dyjament
stało nade mną w niebie biedne stadło.

Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
bo upuścili dziecko... a to spadło;
a oni siedli nad nim znów i lament
taki podnieśli, że mi lice bladło,
serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli.

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
choćby jak trup w grobie leżąc zbrzydła,
potargam wprzód ją pieśnią za pierze,
porwę ją wprzód na pieśniane skrzydła,
porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
puszczę... jeżeli żywa — to polecą.

[1843]

SOWIŃSKI W OKOPACH WOLI

W starym kościółku na Woli
został generał Sowiński,
starzec o drewnianej nodze,
i wrogom się broni szpadą;
a wokoło leżą wodze
batalionów i żołnierze,
i potrzaskane armaty,
i gwery: wszystko stracone!

Generał się poddać nie chce,
ale się staruszek broni
oparłszy się na ołtarzu,
na białym Bożym obrusie,
i tam łokieć położywszy,
kędy zwykle mszały kładą,
na lewej ołtarza stronie,
gdzie ksiądz Ewangelią czyta.

I wpadają adiutanty,
adiutanty Paszkiewicza,
i proszą go: „Jenerale,
poddaj się... nie giń tak marnie.“
Na kolana przed nim padli,
jak ojca własnego proszą:
„Oddaj szpadę, Jenerale,
Marszałek sam przyjdzie po nią...“

„Nie poddam się wam, panowie —
rzecze spokojnie staruszek —
ani wam, ni marszałkowi
szpady tej nie oddam w ręce,
choćby sam Car przyszedł po nią,
to, stary — nie oddam szpady,
lecz się szpadą bronić będę,
póki serce we mnie bije.

„Choćby nie było na świecie
jednego już nawet Polaka,
to ja jeszcze zginąć muszę
za miłą moją ojczyznę
i za ojców moich duszę
muszę zginąć... na okopach,
broniąc się do śmierci szpadą
przeciwko wrogom ojczyzny,

„aby miasto pamiętało
i mówiły polskie dziatki,
które dziś w kołyskach leżą
i bomby grające słyszą,
aby, mówię, owe dziatki
wyrosłszy wspomniały sobie,
że w tym dniu poległ na wałach
generał — z nogą drewnianą.

„Kiedym chodził po ulicach
i śmiała się często młodzież,
żem szedł na drewnianej szcudle
i często stary utykał.
Niechże teraz mię obaczy,
czy mi dobrze noga służy,
czy prosto do Boga wiedzie
i prędko tam zaprowadzi.

„Adiutanty me, fircyki,
że byli na zdrowych nogach,
toteż usłużyli sobie
w potrzebie — tymi nogami,

tak że muszę na ołtarzu
oprzeć się, człowiek kulawy,
więc śmierci szukać nie mogę,
ale jej tu dobrze czekam.

„Nie klękajcie wy przede mną,
bo nie jestem żaden święty,
ale Polak jestem prawy,
broniący mego żywota;
nie jestem żaden męczennik,
ale się do śmierci bronię
i kogo mogę zabiję,
i krew dam — a nie dam szpady...”

To rzekł generał Sowiński,
starzec o drewnianej nodze,
i szpadą się jako fehmistrz
opędzał przed bagnietami;
aż go jeden żołnierz stary
uderzył w piersi i przebił...
opartego na ołtarzu
i na tej nodze drewnianej.

[1844—1845]

LOS MIĘ JUŻ ŻADEN NIE MOŻE ZATRWOŻYĆ...

Los mię już żaden nie może zatrwożyć,
jasną do końca mam wybitą drogę,
ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć,
to wszystko czynię — a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
i w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie;
dzisiaj, przy schyłku dnia, ważniejsze czyny,
wielkie i smętne jak słońce zachodnie.
Na nich się zegar życia zastanowi
i puści ducha-skowronka w otchłanie,
pomóżże, Boże, temu skowronkowi,
niech wesół leci — niech wysoko stanie.

A raczej powiem: Gdy się żywot zmierzcha,
dusza-jaskółka daleko od ziemi;
pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha
z oczkami w światło rozweselonemi.

[1845]

ODPOWIEDŹ NA PSALMY PRZYSZŁOŚCI SPIRYDIONOWI PRAWDZICKIEMU

Podług ciebie, mój szlachcicu,
cnotą naszą — znieść niewolę?
Ty przemieniasz ziemską dolę
w żywot dziecka na księżycu.
W pieśniach wołasz: „Czynu! Czynu!
Czynu! Czynu naród czeka!“
a ty drżysz przed piersią gminu,
drżysz, gdy błysnie Bóg z człowieka,
drżysz, gdy kos cię ukraińskich
długi, smętny brzęk zaleci,
drżysz, gdy w marzeń mgłę zaświeci
groźna, stara twarz Kilińskich.

*

Nie tak, nie tak, mój szlachetny!...
Bo czyn ludu — nie piosenka —
to nie w herbie z mieczem ręka,
to nie ród imieniem świetny,
to nie pieśni próżny twór,
to nie buntu próżna mara,
to nie chmurny lot Ikara,
gdzie zasługą upaść z chmur;
to nie na słońc, gwiazd granicy
z kochankami mdlejąc latać,
włosy splatać i rozplatać,
technienie tracić w błyskawicy —
ale twardo — ale jasno

śró d narodu swego stać;
myślą bić — chorągwie rwać,
świecić czynu tarczą własną;
w drogę — choćby niepowrotną,
lecz ofiarną — naprzod twarzą!
z piersią czystą — choć samotną,
choć ją sztyletami rażą;
z twarzą smętną — ale białą,
Chrystusową — choć zwiędniałą,
a ciągnącą lud do siebie
niesłychanym Bożym czarem:
takim Duchem i sztandarem
być na ziemi — to być w niebie.

*

A ty, Jasny jakiś Panie!
bo cię nie znam, ale słyszę,
słyszac twoje wierszowanie,
że ktoś jak perłami pisze,
że ktoś na kształt się proroka
stawi ludziom — ale modny,
jak historyk świata, chłodny,
obejrzawszy glob z wysoka,
swoje wiersze, gdyby cugi,
wysłał na świat równym kłusem
i napełnił wóz Chrystusem
jak Owidiusz Faetonem;
i rozesłał swoje sługi
swe kolory — cześć pokłonem.

*

Honor myślom, z których błyska
nowy duch i forma nowa!
bo są światu jak zjawiska,
jak jutrenka są różowa,
jak ogniste meteory
stopom Ludu podesłane;
by gościeńce Irydiane
pielgrzymowi — a my od nich
bierzem ogień i kolory
i gwiazd dolatujem wschodnich.

*

Taka była dawniej dana
poetyczna karm dla ludu —
objawienie pełne cudu,
myśl — jak mara niespodziana
z piersi naszej wychodziła
na kształt gwiazdy lub miesiąca,
narodowi dźwiękiem miła,
ludu Sen wspominająca;
czasem słońce w połobłoku
oczom wychodziła, rosła,
czasem lekka — na potoku,
w listku róży, Syll bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
przez poetę na świat lana;
wolna — jako Anioł Pana,
silna — jako skra zapalna:

*

Dzisiaj co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
każdy patron — sam za sobą;
nie z promieniem — lecz z wyrazem,
nie duch-duchem — lecz osobą...
Kiedy gore świat cierpieniem,
kiedy wzbiera czynu fala,
on się kładzie wstecz kamieniem,
na ruch ludzki nie pozwala;
chce zawrócić w stare łoże
nowe fale — rzeki Boże —
do zbolałych serc nie wnika,
czynu ludu nie ma w dłoni;
ale w uszy formą dzwoni,
albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
nie odetchnie pierś szeroka,
nie pomyśli — jego głową,
skier nie weźmie z jego oka!
Tylko z nędznej starej płachty,
zamiast wieszcz — sztandar jego
krzyk: „Na Boga czerwonego!
ty — kto jesteś? nie rznij szlachty!“

*

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?
Możesz spotkać się z upiorem,
z całym dawnym Zaporozem?
Możesz słyssał pochód głuchy,
krzyki krwawe, krwi namiętne,
i księżycę nad krwią smętne,
i sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
w poprzek twojej sennej stecki
już nie duchy — lecz mogiły...
A ty zląkł się? Syn szlachecki!

*

Może tylko w noc półjasną
jeden upiór nadlatywał,
strzały sobie z ran wrywał
i mgły — krwią czerwieniał jasną,
hełm rozpałił w błyskawice,
kurz podnosił purpurowy,
a zrąbane cztery głowy,
niby perły zausznicze,
z twarzą nieznanomych plemion,
głowy trupie — niósł u strzemion...
A ty zaraz: — „W ręku kord!
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten — krzyczysz — jest to Rzeź!
Duch ten — to czerwony Mord!...“
Nie mord — nie rzeź. — To z girlandy,
co leciała ponad Lidą,
jakiś sługa dziewczki Wandy,
jakiś złoty husarz z dzidą,
jakiś krzyża kapłan świecki,
z tęczy widzeń oderwany,
znów poleciał na kurhany...
A ty zląkł się?! Syn szlachecki!

*

Skądże w tobie taka trwoga?
i od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
wiem, żeś prawdy nie powiedział!

Tylko jakieś sny czerwone,
zaludnione czartów gminem,
twych firanek karmazynem,
jak krew jasne — jak sen płone,
pełne, mówię, mar szkaradnych,
bez słońc — bez gwiazd — kwiatów żadnych,
przestraszyły cię — żeś krzyknął:
Stójmy tak! — na ojców kości! —
i twój Anioł, już w przyszłości
zabłyśnięty — jak sen zniknął.

*

Jeszcze co? Ani zamachu...
Naród cały hasła czeka...
a krzyk pierwszy z ust człowieka
był okropnym krzykiem strachu!...
Bo to sen na końcu pieśni,
że magnaty kiedyś staną
z wielką tęczą chorągwaną,
otrząśnięci z wieków pleśni,
z wielką myślą w sercu, w głowie,
chatom — niby Aniołowie;
że bunt święty rozplómienia,
że świat cały od nich zgore...
W tych magnatach serce chore,
proch im sercem i proch rdzenia.

*

Kiedyś ze sto was tysięcy
było szlachty z serc i z lica...
Dziś — jednemu znał szlachcica,
kraj ich cały nie znał więcej...
Jeden tylko serca męką,
zamiarami, choć nie skutkiem,
wielkim — cichym — dumnym smutkiem,
pełną niegdyś darów ręką,
smętną — wziętą z nieszczęść sławą
był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami,
swej godności już nie trzyma...

marą króla zgnił z królami,
dzisiaj go nie ma — i was nie ma!

*

Bądźcie mi weselszej cery,
bo cię żywym być przymuszę...
Wygnań z myśli Maryjuszę,
Cezary i Robespiera.
Z komet, z meteorów cyfer
czytaj przyszłość, wieszczu młody.
Nie bądź w przyszłą noc pogody
jak ta gwiazda — psia — Lucyfer,
gdy słoneczny wóz wyciąga,
z morza wytknie łeb — po szyję,
i zła skrzy, i w oczy bije,
i bezsensnym się urąga;
bo my z bezsensnego łoża
wzrok rzucamy gorączkowy,
a ty łyskasz — łyskiem noża,
dziecko — lub zły duch — Jehowy.
Bo nam rodzisz buntu marę
i w zrodzoną — rodzisz wiarę.

*

Ten, kto ojcu powie: „Rakka!“,
ten przeklęty... więc się bój!
Polski lud — to Ojciec twój —
zeń, jak z cierniowego krzaka,
gotów znowu Bóg wybuchnąć,
z wichrów uwić płaszcz i lice,
i na ciebie — jak na świecę,
iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć.

*

Więc się bój — bo nie ja grozę,
marny człowiek i twój brat...
ale jakiś straszny świat
i widzialne światła Boże,
z mocą, z wichrem i z szelestem
rzucające się na Lud —
strachy — które mówią: „Cud!“
ogień — które szepczą: „Jestem!“

*

Więc się bój — bo D u c h się wdziera,
już podnosi góry, wieże.
„Słaby mówisz rzeź wybiera“ —
a czy wiesz, co On wybierze?...
Może ludów zatracenie —
może nam przyniesie w dłoni
komet wichry i płomienie,
w których drży król — matka roni —
działa, wozy, hulce, konie
ogień pali — ziemia chłonie...
A nikt z ruin nie korzysta,
jeno wszechznający ruch
Wieczny Rewolucjonista,
pod męką ciał — leżący D u c h.

*

Duch — Światło — M ł o d o ś ć,
orla i żywa,
niebo porywa,
z Boga moc czerpie...
Nad nią — na sierpie
z blasków księżycy,
Bogarodzica
w zorzy czerwonej,
na wywróconej
tęczy porannej.
A pod nią mgła
z ognia i szkła
w grze nieustannej
bałwany wznosząca,
by znieść ją z miesiąca,
z gwiazdami złotymi
postawić na ziemi,
ogłosić królową
piękność — z płomieniem w sercu —
[z gwiazdami nad głową.

*

Wyszła! wyszła z za obłoku,
ludziom się pokaże.
I na żniwie i na toku
ujrzą ją żniwiarze;

cała w słońcach — cała w błyskach
ludom się pokłoni,
pastuszkowie przy ogniskach
zaśpiewają o niej.
Ujrzą ją na łąkach trzody
i smętnie zaryczą,
zadrżą drzewa — staną wody,
sny z niej tęcz pożyczą.
Gwarząc zbiorą się Włodarze
z kosami na roli...
bo się w światłach, w snach pokaże
człowiek dobrej woli.

*

A tu niżej
kilka krzyży,
 płacz namiętnych;
pierś uciszysz —
a usłyszysz
 jeki — smętnych.
Zbrzydowscy
i Zborowscy
 w czerwonych deliach;
sny — martwice
i dziewice
 w białych kameliach.
Chór nadchodzi,
zda się w łodzi
 o brzeg traca.
Nad smetnemi
lampa ziemi,
 krąg miesiąca.
Zegar świata,
 ptak Piłata
 godziny pieie.
Strach i nudność,
w grobach drżą koście,
 bez-duck — szaleje.
Duch uciska,
mroczy i błyska,
 aż uzupełni

wiek idący,
Bogiem błyszczący
jak miesiąc w pełni.

*

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola i na ziemi, i w Niebie,
przez nas — czyn Twoje czyny.
Niechaj się Twoje Imię na wysokościach święci,
niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
dla ran naszych i zmazy.
Wspomnij! cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
a duchaśmy nie dali.
Nie poznaliby Ojce naszych bolesnych twarzy,
gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry
jak gołębie: Nie ciśnij!
Duchy jak gołębice rozleciały się w chmury,
zatrwóż! — niech wrócą — błysnij!
W tej błyskawicy, Panie, obaczym się z daleka,
brat pozna swego brata;
i wstanie nieśmiertelność jako Anioł z człowieka
i staniem Ludem Świata!...

*

W takim hymnie, wieszczu, stój!
Bo pieśń taka pójdzie górą
nad podlejszych dusz naturą
panująca. — Boży strój,
do którego Bóg nagina
wszystkie wińku tego struny,
złączy dźwięki i pioruny,
świat co kocha i przeklina;
i błękitom rzuci na tła
przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wejdzie na ciało złamy,
i z Chrystusem się spotkamy,
a spotkania plac — powietrze.

[1845]

MÓJ KRÓL, MÓJ PAN — TO NIE MOCARZ ŻADNY...

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
ni ten — na którym trzy koron się piętrzy,
ale duch pierwszy globu — światowładny,
choćby w chłopku — duch świata najświętszy;
czy on na świecie żyw — czy gdzie nad światem?
wiem, że duch taki jest — i dość mi na tem.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
gdziekolwiek jego wołanie usłyszę;
czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
czy jeszcze w żłobku matka go kołysze;
gdziekolwiek ono dziecko światowładne
poczuję — klęknię i na twarz upadnę.

Teraz pod żadną światową się władzę
nie mogę poddać — nie przeto, żem dumny,
ale że duch mój bezoczny prowadzę
od wielu wieków przez słońca i trumny.

[1846?]

DAJCIE MI TYLKO JEDNĄ ZIEMI MILE...

Dajcie mi tylko jedną ziemi milę, —
może, o bracia, za wiele zachciałem! —
dajcie mi jedną bryłę — na tej bryle
jednego — duchem wolnego i ciałem,
a ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
żę taki posąg — dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
kometę złotem wiejącą szwadronem,
niechaj po lasach będzie latająca,
a tylko święta jednym polskim zgonem,
a ja wnet siły dobędę nieznanę,
skrzydła wyrzucę — i wnet na niej stanę...

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
a proszę Boga o kraj, o człowieka —
to mi się zdaje, że tętnią rycerze,
a wróg z piorunem przed nimi ucieka...
chcę biec — lecz kiedy na blask gwiazd wynidę,
gwiazdy mię drwiące pytają, gdzie idę.

O gwiazdy zimne, o światła szatany,
wasze mię wreszcie niedowiarstwo zwali...
Już prawie jestem człowiek obłąkany,
ciągle powiadam, że kraj się już pali,
i na świadectwo ciskam ognia zdroje, —
a to się pali tylko serce moje!...

[1847?]

USPOKOJENIE

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
na której usiadają podróżne żurawie,
spotkawszy jej liściane czoło wśród obłoka;
taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
stoi trójca świecących wież świętego Jana;
dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
wygląda w perspektywie sinej Miasto Stare:
a dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
szkła okienn — jak zielone Kilińskiego oczy,
czasami uderzone płomieniem latarni,
niby oczy cichego upiora spod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
to naprzód tam na rynku para oczu błysnie
i spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
a potem się poruszą wszystkie kamienice,
a za kamienicami przez niebios otchłanie
przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
a za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
wicher jakiś, z aniołów urobiony Pańskich,
oderwany jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
przezroczystry jak brylant, a jak ogień złoty,
który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
zwinie i nimi ciemną uliczkę załęże,

jako brąz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
i naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serce naszych złodzieje,
jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje;
przez harmonikę tonów swój krzyk przeprowadzi,
o kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
a potem na Zygmunta uderzy kolumnę
i z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
słyszac ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.

Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
i płaczącym się głosem na miasto rozzwoni;
więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
zostanie gdzieś na placach jak harfa grająca...
to wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura,
nie wiem, „Niech żyje Polska!“ , czyli też krzyk „Hura!“
wyleci jak koń śmierci zerwany z wędzidła,
o katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją,
powie, że tam się ciemni aniołowie biją,
że tam szatan ogniste przywoławszy moce
koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce;
że jako Machabeusz pod zwałonym słońcem,
tak szewcy pod piorunem padają i koniem
zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestraczem ogłuchnie,
to znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
jednym krzykiem
A potem co? — Stojący uliczce na strychu
kościół się katedralny odezwie po cichu,
walkę i krzyk różnymi wiejący głosami,

jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
coraz głośniej: — i całą tę harmonią senną
roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
wzdryga się — jeden „Vivat“ uliczny i „Hura!“ —
jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;
że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny;
jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
tak śpiewa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty,
kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty
i wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
zapieją jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonia nie zamilkła senna,
a już kolumna placu, ta struna kamienna,
tym samym wichrem bita, z rozważanym czołem,
prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
i dwa te śpiewy już bez odpoczynku
będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
że z niej — by słowo wyszło, to jak działa bije;
jeśliż na każdą formę naszego uczynku
tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
i w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
muzykę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
a kolumny na swoje muzykanty stroi:
to człowiek, który zawsze o zdradę się boi
i wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

[1847?]

WYJDZIE STU ROBOTNIKÓW...

Wyjdzie stu robotników,
oborzą miasta grunt,
wyrzucą łokieć — funt.
Klatki pełne wróblików
otworzą — i przed łuszcza
ptaszki na wolność puszcza...

Muzyka nieustanna:
Wolność! Wolność! — Hosanna.

Święci staną w katedrze
trzej... i zawezwą ducha,
lud księgi praw rozdrze,
próchno kart porozdmucha;
weźmie stare sztandary,
wyprowadzi jak mary
za kościół — na mogiły,
zapali, by świeciły
światu dawnymi dzieły,
błysnęły — i spłonęły.
Bije godzina ranna,
masy rzekły. Hosanna!

[1847]

GDY NOC GŁĘBOKA WSZYSTKO UŚPI...

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
ja ku niebu podniosłszy ducha i słuchanie,
z rękami wzniesionymi na słońca spotkanie
lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Pode mną noc i smutek — albo sen na ziemi,
a tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga
i chłopek swoje woły do pługą zaprzęga,
modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nade mną na błękitach świeci,
czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
zerwie się i do Polski jak anioł poleci;

wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
a czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

[1848]

P O E M A T Y

JAN BIELECKI

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA OPARTA NA PODANIU HISTORYCZNYM

I

WYPRAWA NOCNA

Oto się ciemne księgarnie otwarły,
tu źródła bogactw w zapyłonej ramie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły
pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika
jak rdzawa kłamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedyminów?
Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinksy, te ubiegłe wieki,
mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „Kraj nasz dosięgnął szczytu,
chylić się musiał.“ — Precz z myślą szatana!
Pamięć, w dalekich wiekach obłąkana,
niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...
O! jak spokojne otchłanie błękitu,
tam z dala płynie złote kłosów morze,
a tu klasztoru szumią ciemne lipy;
myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
jestem wesoły jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się najgrawa
z nieszczęść obecnych, bezwładny — bez steru.
Gdzież jestem? Oto mury Westminsteru,
tam Izba Parów, tu Tamiza mgława
połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
ów pałac zmarłych z uczuciem przestachu;
bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
a oni żyli... Nie zajrzałem w urny,
wybiegłem — więcej nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i co dzień
w dziedziniec głazem grobów brukowany,
po których stąpa niemyślny przychodzień...
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
dążyli spiesznie do progów kościoła
i umierając kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy
niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy
nie mając w duszy wrącego płomienia!

Posępny — siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach — a godło obrazu
było: „Kraj zdradził, lecz zdrada zabija.“

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
z kronik czerpane rysy i kolory;
już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju, nie skreślę do razu,
jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
dalej kaplica blachą powleczonea.

W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze,
co ma król polski, i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
na ścianach srebrem tkane adamaszki;
gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
z srebrnych sadzawek niby dla igraszki
wytryska woda tęnąca wonią róży
i nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
w oczy się patrzy i chęci odgada,
ani się kiedy śmie odezwać słowy:
spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
w złocistej szacie, ale bardzo blade,
wydaje troski zachmurzonym czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwały,
wesolej szlachty ozwały się tłumy,
wesółym gwarem zabrzmiały komnaty;
już wino słabsze zwycięża rozumy,
dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzezan mówi — szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
słuchajcie pilnie — a ja w krótkim słowie
wyjawię powód, wyłożę zamiary,
a potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! Szlachcic obraził mię podły!
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
i jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,

widziałem wroga, nie próżno przychodził;
król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
nie spojrział na mnie i odprawił z niczem.

„Nasz dumny Stefan, do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książe?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
niechaj się jedna usunie kolumna,
gmach cały runie, cały się rozprzeże.
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...

„Hej! szlachta! znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
a dziś się z pany w jednym stawie rzedzie.
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki wałą się pod gromem,
on podparł domu walące się ściany
i tak spokojny między nimi żyje,
i tak szczęśliwy, że nad jego domem
co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! — niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Miodem i winem, i ucztą zagrzany,
tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem,
i tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
migwały w tłumie drogie aksamity,
złociste pasy i jasne żupany,
jak się wahały brylantowe kity
i oko ćmiły różnobarwne krasy:
blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
wiecher nowego świata zbłądzi lasy,
gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
gdy się mieszają wszystkie barwy borów;
liście i kwiaty płyną jak potoki,

zachwyca oczy cudna gra kolorów,
szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
dalej! na pola przez ubite szlaki!
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi!

II

WESELE

W Brzezan miasteczku, w kościele u Fary
jaśnieje ołtarz — potężne organy
wstrząsają pełne grobowców filary,
po ławkach jasne migają żupany;
tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
a owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiatacy,
służba rozwija kobierzec bogacy.

Swaty i drużby wystąpili strojno
i młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartym czołem, Jan Bielecki zbrojno,
w husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
jako do bitwy stanął do ołtarza;
patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
od lubej w miłym dany upominku
skłaniał się bukiet z róży i barwinku
i drżał listkami, tak mu serce biło,
tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej swaty za młodym rycerzem,
a dalej bracia husary, pancerni,
a dalej służba w wielkim stoi kole,
zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
rozwiną skrzydła na barkach sokole
i jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
błękitną barwą lśniąca jedna strona,
bo takie było męża herbu pole;
a na mienionym jedwabiu lazurze
lśnił się herb, srebrne księżycą półkole,
gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusim piórze;
a druga strona sukni szkarłatowa
i herb dziewicy szyty na szkarłacie,
srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
o jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
i cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
tę młodą różę, co wpółwychylona
aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
choć chmury słońca nie zakryją światu,
kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
lilija wodna może przeczuć burze,
kwiat czuje. — Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały;
i pochodniami świecili kozaki,
noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ — zawołał pierwszy swat — „przede mną
nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
do twojej chaty? Ha! Cóż to? Dla Boga!
Czy dom twój zniknął? Czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
wieśniak ostatniej miedzy doorywa...“
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi,
patrzają, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
blednieje — nagle z tłumy się wyrывa;
a w tłumie była cichość straszna, głucha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
stał przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno“ — rzekł — „Anno! wracaj! — Nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniósę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami.
Wracaj, o Anno! Ty będziesz szczęśliwa,
w twoim objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...“ — Zadrżał — i spał konia,
i jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
a po nim żona chodziła w żalobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
gdzie był dom Jana, samotny skowronek
wzleciał nad skiby przeoranej roli,
nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III

BAL MASKOWY

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
skromne jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
w różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecko,
z ram poczerńnięte patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
gdzie Matka Boska w gwiazdzistej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
lecz budzą ciszę wieczornej godziny
głośnym wahadłem po ścianach zegary.

A na dziedzińcu lipy i osiny
szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
u wrót podwórza nieraz się odwoła
na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
otwiera świętych poważne żywoty
i czyta głośno, a spokojność wiary
jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty
i łzy zamienia w płacze nieszkodliwe
jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone
i nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie
brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony,
i rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
— „Na wieki wieków“ — starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy
i rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzezanach,
dzisiaj mnie posyła po paniach i panach,
jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
a wszyscy w dziwne przybrani maskary.“ —
— „Ha! Precz mi z oczu!“ — krzyknął Cześnik stary —
„Precz! Pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga“... lecz nie skończył mowy,
upadł na krzesło i zdjęty niemocą
już gniewu swego nie mógł wyrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą,
wokoło słychać nocnych kurów pianie
i psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Z nagła zadrżały obrazy na ścianie,
znow się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
wszedł błądy człowiek — lecz na powitanie
jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
i opatrzone w pieczęć zawinięcie
złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!“ —
wykrzyknął starzec, воск rozłamał kruchy
i znalazł słowa: „Anno! bądź na balu...“
A dalej szaty z tureckiego szalu,
wielkie ze złota ulane łańcuchy,
brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!
zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nade mną.“

Jak cudny obraz oczom się odkrywał!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzezany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
podobne kształtem, złożonymi ściany,
strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
szaty ma cudne, dorobione twarze;
weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
ujrzyć tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
krzyż ma na piersiach jak obrońca wiary,
krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica,
a w rękę jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica
z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
ona zbierała w Neapolu wieniec,
on się urodził w Rzymie Oceanu.
A pieśń majtków i szum cichej fali
ukołysały umysł jeszcze młody;
i rzucił ślubny pierścionek do wody,
poślubił morze i jak Tass się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy:
dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
od szaty bije blask dyamentowy,
we włosach toną przepaski z koralami...

Wnet się rozlega szmer wielki po sali:
„Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
w skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewczica?...“
Próżna ciekawość: pod maską jej lica,
ani się słowem wydała w rozmowie.

IV

ZEMSTA

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
głośna to radość, lecz radość nieszczera.
Śmiech słychać!... Śmiech to wymuszony świata,
na bładych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśniej jak kwiaty z płótna,
którymi błyszczy biesiadnika głowa;
ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna,
nigdy nie żyły i w nieba błękitcie
nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któż by przeniósł takich kwiatów życie
nad jedną chwilę rozkoszy — choć błędną?

Pan Brzezan smutny, milczący, ponury,
porzucił tłumowi różnobarwne fale;
szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
i wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
a z ram złożonych niejedna twarz błada.
której wiekami ściemniały kolory,

twarz przodków patrzy smutna, nieruchoma.
Chodził Starosta, krok niepewny, skory,
za nim się cienie kładły od księżyca;
a gdy na niebo podniósł blade lica,
na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słyhać wrzaski;
i zbiegł Starosta do sali biesiady,
zawołał pazia, pomieszany, błady.
— „Paziu mój! paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
czoła zakryte i tatarskie szaty...“
— „O Panie! twojej bojaźni nie dzieję,
to jakaś szlachta zjechała kulikiem.“ —
— „Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
zaraz by pełne obległa szklannice,
a oni milczą, kryją tajemnicę...
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! Prędszej, paziu młody.“

Już nie czas... Zewsząd tłumy pogan, wrogi,
biegną przez wielkie marmurowe wschody;
trupami sali zawalili progi,
ogień pożaru zażęgli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju
czoło złocistym przystonił turbanem
i wiarę złotym księżycem nazaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
światła zadrzały, zgasły, tylko błady
świecił się promień lamp, w alabastrowe

ukrytych głązy... Wpadł jak śmierci mara
i wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzezan z mieczem stał wobec Tatar...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza!
Patrzcie! O zgroza! To miecz dobrze znany!
Na emaliji zaćmionym lazurem
obraz Najświętszej Panny malowany
i obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
herb, jakby srebrne księżycą półkole
i gwiazda, nad nią hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone
i padł Starosta na twarde granity;
zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznaną nikomu,
którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
zadrżała, padła na głaz jak nieżywa;
a Tatar przybiegł i padł na kolana,
cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
twarz jego była straszna, obłąkana,
chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
ona jak martwa była w jego dłoni;
z głowy różane pospadały wianki
i włos się rozwiął pełny słodkiej woni;
rozwiany spływał aż do stóp Tatar.
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się — gdzież jest? W zamkowej kaplicy,
a przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno, i ciemno,
a księżyc mury oświecał kościoła.
— „Tyż to mój luby? Tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła...”
I zdjął Bielecki turban muślinowy,

Anna spojrzała i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady
i znów po chwili ciężko przebudzona
rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...“
— „Ha! blady?“ — przerwał rycerz z dzikim śmie-
[chem —
„Wszak zdradzam!...“ zamilkł — lecz ostatnie słowo,
trzykrotnie głośnym powtórzone echem,
przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówi: „Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! Będę jak róża rozkwitał?
Na moim czole napisano — zdrada.
Kraj cały we krwi... Wzniesź na księżyc oczy,
patrz na te okna, na szkłe malowidła.
Gdy błysnie słońce, ów anioł rozłoczy
różane lica a srebrzyste skrzydła;
lecz szklisty obraz, przejęty księżycem,
teraz do lekkiej widm podobny larwy:
ciemniejszym patrzy i niepewnym licem,
smutną ma postać, obumarłe barwy;
inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
oświeci nieszczęść lampa, od tej twarzy
weselsze będą grobowe cyprisy.
O luba moja! po co te rozmowy?
Luba! chodź za mną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twoim łonie dożyję siwizny,
siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“
— „Mój Ojciec!“ — „Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!
I ty się lękasz?... Przeklnie! I cóż znaczy
przekleństwo Ojca, braci lub ojczyzny?...
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi,
jest wszystkim! Luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.“

KOŚCIÓŁ WIEJSKI

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
 już pochylone, wsparte na podpory;
 promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
 słońce wzierając przez te szyby drzące
 różne już na nich wybiło kolory.
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
 krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
 na progu żebrak pacierze powtarza.
 Wokoło cmentarz kwiatami zarosły
 i wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słyhać wiejski dzwon kościelny;
 zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez pola.
 Było to święto, był to dzień niedzielny,
 dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
 Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
 zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
 wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty,
 tłumi się coraz pieśń ludu niktąca,
 ucichła... Ksiądz tylko słyhać słowa,
 cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
 niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
 niekiedy starzec księdzu odpowiada:
 świergocą wróble i pod szczytem wieży
 pierzechnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Msza się kończyła. — Oto w niskie progi
 jacyś wędrowce weszli do kościoła.
 Jeden padł na twarz, całował podłogi,
 drugi ponury, nie uchylił czoła.
 Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
 błysnął spod płaszcza i twarz niewesoła.
 Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
 oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
 teraz zaczyna mówić Boskie słowo:
 „O bracia! dzieci! tegożem dożył,

ja, stary wiekiem, z ubieloną głową,
że kiedy nieraz osładzałem troski,
dziś żal pod strzechę niosę w Bożym słowie?
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam.
Módlcie się! Ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!...“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,
jakże niechętnie, dźwięki ledwo żywe.
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
zaledwo doszło przed oblicze Boga,
u progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
zadrżał i upadł bez ezucia na głazy;
drugi zaś, drżący i blady straszliwie,
kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca
i tam na zimnym kamieniu grobowca
kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
cieniem, co groby kwitnące okrywa;
wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa;
i rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!...“
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
a ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
we wrotach stanął, twarz odwrócił bladą
i rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
a jego litość liczniejsza nad ziarna
morskiego piasku i głębsza nad morza.“

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
oto z drugiego spadła szata czarna
i twarz odkryła... Przebóg! To dziewczica!
To Anna! Z ust jej nie słyszano słowa,
czy brak w niej czucia? bo sucha żrennica;
twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
a w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
i brylantami oświecone szaty;
we włosach jasne przepaski z korali.

„O mój najmiłszy!” — rzekła — „o mój drogi!
jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? Luby! odpowiedz mi łzami!...”
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
sama w święconej pochowam cię ziemi.”

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ożłocił słońca blask jaskrawy,
brzozy po grobach długie kładły cienie,
wonnej czeremchy orzeźwiało technienie,
szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
lecz coraz bardziej ciemnieją kolory
i przez liść brzozy księżyc zapłoniony
topił się we mgłach w różne kształty, wzory,
lica wysrebrzał — a nocne zasłony
okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
nieszczęсна Boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca
jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,

smutne się echo o groby roztrąca,
lecz echo coraz słabsze niosło razy;
i coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
tonące modły — jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu
usnęła — może usnęła na wieki...

I cicho! Niechaj głos pieśni stłumiony
nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
całego świata gdy się odgłos spłynie,
tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
i płacz boleści, i śmiech obłąkania,
i wszystko można rozróżnić w tej ciszy
słuchem anioła i myślą anioła.

[1830]

W SZWAJCARII

I

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza, z popiołów,
nie wylatuje za nią do aniołów?
czemu nie leci za niebieskie szranki,
do tej zbawionej i do tej kochanki?...

II

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
gdzie Aar wody błękitnymi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
nic ją nie zburzy i nic ją nie zmiesza;
a czasem tylko jakie białe jagnię
przez tęczę idzie, na skraju doliny
szczypać kwitnące róże i leszczyny;
lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
że z tęczy wyszła i z potoku piany,
wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
tak jasną była od promieni słońca!

tak pełna w sobie anielskiego świtu!
tak rozwidniona żrennicą z błękitu! —
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
to zakochały się w niej moje oczy;
a za tym zmysłem, co kochać przymusza,
poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
bo się lękałem, że jak widmo blade,
nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
upadnie w przepaść i w kaskadę,
i roztopi się, i zgaśnie, i zniknie.
i byłem jak ci, co się we śnie boją,
bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak raz pierwszy spotkałem ją samą
pod jasną tęczy różnofarbnej bramą;
powiew miłości owiał mię uroczy.
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
i zśliśmy razem u stóp tej lawiny,
gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
a Rodan z paszczy błękitnej ucieka.

Pamiętam chwilę..... poranek był skwarny,
tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
stały blisko, złote, nieruchome,
i utopiły oczów błyskawice
w kochanki mojej błękitne żrenice;
i długo patrząc, nieruchome obie,
głowy promienne pokładły na sobie;
rzekłem: — i za to z ust zamkniętych skromnie
najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
przyleciał szybko i wrócił z podróży,
do swego gniazda, do pereł i róży;
a gdy zobaczył, że oczów nie mróże,

całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwytła
rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
ani tak oko wędrowca zachwyca
gór nadalpejskich śnieżysta dziewczica,
kiedy od słońca różane ma lica;
jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
i nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
chodzić po wodach i po niebie latać,
a ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
była jeziora błękitnego panią;
płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
za tą jasnością rybek korowody,
i wyrzucały się aż do niej z wody;
i z takimeśmy płynęli orszakiem
uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
miała powozy z delfinów, z gołębi,
i kryształowe pałace na głębi,
i księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
myślałem całe długie pół godziny;
wyspowiadałem się potem z tej winy. —
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem
pierwsza na kamień wyskoczyła płocha
i powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
i odesłała mnie znów na jezioro,

łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...

A ja — ach, nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
czy uśmiechami rozrywa się łono,
czy serce jak lód rozegrzany taje,
czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
na serce spadły jak gołębi chmura
pięć lży i białe w nim obmywać pióra,
aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
i sama do niej z błękitu przybiegła.

VI

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
że się już dawno sercami kochamy;
a pod tym progiem są na wodzie plamy
od sosen, co się kołyszą na niebie,
i od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
i tak swawolna, i taka ruchoma,
że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
i przybliżała łącząc je rękoma,
choć nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta,
że połączyła nawet nasze usta,
choć sercem tylko byliśmy złączeni;
fala tak pełna ruchu i promieni,
że jednym światła objąwszy nas kołem,
zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
i mroz na czole mej jasnej królowej
perłami okrył wszystkie polne róże;
i ze sklepienia lzy leciały duże,
a we łzach sylfy z jasnością ogromną
deszczem spadały na białą i skromną.
Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,
cała się szatą okryła zazdrośniej
i wszystko oczom ciekawym ukradła,
i jeszcze ręce skrzyżowane kładła
na alabastry widne, choć zakryte.

Tak nieruchoma stała — a koło niej
igrały tęcze w blaski rozmaite.

Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.
Ave Maria!

Jak biała róża, kiedy się rozwija,
róż pokazuje z piersi odemkniętej,
taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
palec na ściany kładac krystalowe
jak ta, co imię ukochane kręśli
lub o błękitnych jakich myślach — myśli.

Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:

„Może za miłość ja pójde do piekła
i gdzieś w piekielne wprowadzona chłody
wszczepiona bede w krystalowe lody
jako ta bańka z powietrza i z tęczy...“

„Lecz prawda“ — rzekła — „jeżeli się męczy
ta jasność, słońca stworzona promieniem,
którą lód w sobie mrozi i zabija,
można ją z lodu uwolnić westchnieniem....“

Ave Maria!

VIII

Pójdziemy razem na śniegu korony!
pójdziemy razem nad sosnowe bory,
pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!

gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
gdzie we mgle jelen przelatuje skory;
gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
rzucają cienie na lecące chmury!
O moja luba! tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
i gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
i ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
i błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
gdzie jak łabędzie zadumane siedzą!
Ach! najciekawszi na świecie nie zgadną,
w jakim szalecie żyłem z moją miłą;
i wiele nam róż do okien świeciło,
i wiele wisień naokoło rosło,
ile słowików na wiśniach się niosło:
ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić.....
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet, i wiśnie w parowie,
w takim parowie, że stróż anioł biały
rozwijał skrzydła od skały do skały
i nakrywał ten cały parów dziki,
szalet i róże, i nas, i słowiki.

X

Lecz nadto było cyprysowej woni
i nadto barwy, co się w różach płoni;
i chciała nas już miłość ująć zdradą —
było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —

byliśmy niczym nie strwożeni — sami —
czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
 ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł, co myśli i słucha —
 i nagle — takim przejrzystym obłokiem
rumieniec smutny twarz jej umalował,
 że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało;
alem ją w usta różane całował
 i czułem ją tu, na mych rękach, białą,
sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
coś pomieszało się i coś urzekło;
wiatr na nas rzucił całe wodne piekło
i z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami. —
Odtąd jużemy nie czytali sami.

XI

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
smutniejsza, cichsza i bielsza, i bledsza.
W głębszych się coraz zanurzała cierniach
i obrywała róże na strumieniach;
albo przy kaskad naciągniętej lutni
stawała słuchać tak jak ludzie smutni,
z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
 ręce na białą zakładała szyję,
jak ta, co boi się albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije.
do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem
i jaskółeczek utraciła zwinność,
i zadumała ją całą — niewinność.

XII

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
i rzekłem: „Luba! jak Bóg jest na niebie,
z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije
na jasnej łące, myła twarz i szyję;

a tam za tobą prosta, niedaleka,
jak służebnica, co z rąbkami czeka,
lilija jedna, cała jasna, w bieli,
oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
i drzeć zacząłem, i zadrzałem wszystek,
i jeden tylko poruszyłem listek;
ten listek inne poruszył listeczki,
i szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
i takeś prędko uciekała złąkla,
 żeś łonem — kwiatu potrąciła pręty;
i lilijowa wnet łodyga pękła,
 i kwiat z niej upadł, twoją piersią ścięty:
a jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą, —
 nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII

Płoneła wonna jak kadzidło mirry,
 i widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszymi oczu stały się szafiry
 i prędsza fala białości na łonie;
 i dziwnym ogniem rozpalone skronie.
wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
i skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
co zamysłone własnych myśli słucha.

XIV

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą
 aniołom Boskim mówisz rozżalona,
jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą?
 Że była burza gromami czerwona,
 że była grota posępna i ciemna

i grocie z kaskad kryształu załona;
że była trwoga w ciemności tajemna,
razem niepamięć jakaś Boskiej kary;
i skarga smutna czystych Nimf podziemna;
że nas tam samych dzień odstąpił szary
i zastał z twarzą ognistą przy twarzy;
i ptasząt nas tak obudziły gwary.

Mówisz ty o tym? jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
jednemu będzie z tych jasnych pożarem.

Bo ja, ach, gdybym był także aniołem
z rozpromienionym na błękitach czołem,
i nieskończoność całą miał obszarem,
i mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,
lecz tylko rzucić błękity i lecieć.
i taką jak ty mieć moją — na ziemi.

XV

Z grotty ta piękna wyjść nie śmiała sama.

Słońca się może bała na lazurze,
że za promienne będzie i za duże
albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
na wyplakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła. — I naprzód ją zdziwiły róże,
że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
i zadziwiła ją ta tęcza ranna,
niebios błękitnych przezroczyść szklanna,
krążek księżycy tonący w błękitcie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
aż gdzieś w kryształce jeziora spostrzegła
na licu swoim przezroczytszą białość,
żywszy ust koral i większą omdłałość,
i usmiech pełny tęsknoty, i żalność.
Więc osłoniła się cała w warkoczu
i więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
 kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
 i wszystkie liście bez szelestu wiszą,
 i ciszej źródła po murawach dyszą,
 jakby ta gwiazda miała coś nakazać
 i o czym cichym pomówić ze światem,
 z każdym słowikiem, z listeczkim i z kwiatem;
 jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
 wychodzi błady pierścionek Dyjanny:
 wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą
 i wszystkie liście na drzewach zabręcą,
 i wszystkie źródła jęk wydają szklanny.
 O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
 jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
 jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.
 O takiej chwili z moją panią skromną
 jużesmy siedli w naszych progach sielskich,
 już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII

Jak śpiewający na niebie skowronek,
 z gór słyhać było pustelnika dzwonek.
 Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,
 może rozgrzeszy, może rozweseli,
 dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.“
 Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
 szybko zamknęła wszystkie okiennice,
 ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
 i ustroiwszy się jak gór dziewice,
 wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...
 Ani jej oczy kiedy takie ładne,
 ani jej usta takie były świeże;
 motyla miała czarnego na głowie,
 ten alabastrów od smagłości strzeże;
 i przeświecony od słońca w połowie
 na czoło rzuca skrzydła cieniu duże,
 a pod motylem pochowane róże
 spod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
 na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;

wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
 złośliwy motyl usiadł przechylony.
 Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
 Siadł i na lewe przechylił się ramię.
 I któż by wierzył w przeczucia, co straszą,
 gdym wyobraźnia cała szczęściem dumna!
 Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,
 szalet się oku wydawał jak trumna,
 maleńki, cichy; kiedym spojrział z góry,
 nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;
 i niespokojne o nas gołębicę,
 i zadumane o nas w łąkach trzody;
 ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
 zabite śmierci ówiekiem okiennice;
 wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
 jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
 Szedłem posepny i drżący na góry...
 Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury,
 girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
 słońce czerwone jak krew o zachodzie,
 dom pustelnika śniegiem przysypany
 i dwa ogromne na straży brytany,
 krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
 cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
 wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
 Pamiętam tylko, że promień zachodu
 cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
 kiedy na palec jej zimny jak z lodu
 kładłem pierścionek

XVIII

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
 o nie pytajcie wy mię, smutne, o nią.
 Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
 A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie
 i widzę jasne błękitne spojrzenie,
 co się zaczyna nade mną litować,
 i widzę usta, co mię chcą całować,

i drzę — i znów mię ogarną płomienie.

I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schować?
i gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?

I staję blady, i kreślę jej rysy;
lub imię piszę na piasku wilgotnym;
lub błędzę między róże i cyprysy
jak człowiek, który skarb drogi postrada,
zmysły utracił i płacząc usiada
tam, kędy urny na grobowcach siedzą;
myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX

Jest pod moimi oknami fontanna,
co wiecznie jęczy zapłakany szumem;
jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
gdzie co noc blada zaziera Dyjanna
i czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami,
to drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram
słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
mówią mi o niej — ja serce otwieram
i o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
i schnę, i więdnę — i ach, nie umieram...
I co dnia budząc mnie fontanny płaczą.

XX

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
nie wiem, jak sobie jej postać malować:
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?
czy wtenczas, kiedy uciekała trwoźna?
czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
wbijała oczy błękitne, otwarte,
na każde moje spojrzenie ostrożna?
czy kiedy wiejskim otoczona dworem
chodziła gdyby zaklęta królowa?

czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
w księżycu blasku biała — lub wieczorem
od Alp na śniegu różowych — różowa?

XXI

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie
i tam polecę, gdzie one polecą.

Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną,
zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;
i wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.

Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,
miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
o moje serce rozdarte i krwawe;
miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
idąc po fali... zaszeleści złotem,
i załaskocze tak duszę tajemnie,
że tęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

[1835—1838]

OJCIEC ZADZUMIONYCH W EL-ARISH

Dla objaśnienia następnego poematu potrzeba mi nieodbi-
cie powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między
Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to
jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swoimi pań-
stwami nazaczył myślą na błędnym piasku granicę i pod karą
miecza zmusił wolne Beduiny rozbijać w tym miejscu namioty,
i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; ina-
czej zaś z Egiptu do Syryji dostać się nie mogą. Podróżując na
wielbłądzie musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach
drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na
niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem,
jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem za-
wiane, mogło prawu ludzkemu podlegać; ale miecz Baszy zda-
wał się wisieć w błękitnym niebie nad głową moich przewodni-
ków Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny kazali zaraz
ukłknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głą-
bokie poddanie się ludzi wolnych dla naszej podróżnej czło-
wieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było
miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a dok-
tor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się na-
zywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Ma-
lagamba, sławną pięknnością na Wschodzie, o której Lamar-
tine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast
mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić;
wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróżnej gromadki;
a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzeźły w białej
i srebrnej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło.
Rozłożywszy się pod namiotem przywykać zacząłem do smutnego
widoku, który mnie otaczał. Opodał nieco rzeczka, sucha prawie
aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza, za nią
szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa Mo-
rza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal
napępniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś na

piramidalnej piasku mogile błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochnach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgorza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantanny strażnicy w jaskrawych orientalnych ubiorach; w środku zaś doliny, niby stożek piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym głosem wielkosc Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powiesci; a pokażą się mu we właściwym świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalało mi chodzić, wstąwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnym, okropna burza, przewiewana wichrem z Morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i połała się deszczem piorunów na mój namiot oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zaczerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsensu cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Prózne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhell! myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nade rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestraszów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnymi pletwaniami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przysła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzyłem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwno doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbitcia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęło i przy gościnnym posadzone ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogły nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się na koniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem namiot; i przyszły dni pogodne, ciche, spokojnie pły-

naące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chępliwy, że był niegdyś tłumaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych pahnach różne drobne szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, którymi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka śpiewającego smutne dумы z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacją Oriona, tak podobną do gwiazdzistej lutni, zawieszzonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów ukłękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumany, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot nie czując już w sobie mieszkańca wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata: patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przeze mnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec opowiadający nie-szczęścia swoje w następnym poemacie. Historyja jego boleści nie jest całkowiec zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby, i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni Ale czymże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozechodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Małeńkie dziecko karmiła mi żona;
prócz tego dziecka trzech synów, trzy córki,
cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
chodziło co dnia na piasku pagórki
karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
a wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
synowie moi ogień rozkładali,
żona, z synaczką przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
promienistemu słońcu się odśmiewa,
wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam — o boleści!
trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
odkąd do mego płóciennego dworu
w tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
jaka się w moim sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
w dziedzińcu moim pomarańcza dzika
zapyta: „Starcze! gdzie są twoje dziatki?“ —
w dziedzińcu moim córek moich kwiatki
spytają: „Starcze! gdzie są twoje córki?“ —
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
pytać mię będą o synów, o żonę,
o dzieci moje wszystkie, pogrzebione
tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —
i wszystkie będą mię pytały echa,
i wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
Widzisz tę małą rzeczukę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
śmiejąc się, lekko trysnęła na braci. —
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku
wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
i rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie“. —
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
powalił się tu jak palma zlamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
Siostry go chciały martwego całować;
krzyknąłem wściekły: „Niech się nikt nie waży!“ —
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
aby go wzięła na żelazne zgrzebla
i tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.
A od tej nocy tak pełnej boleści
naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Tej samej nocy Hafne i Amina —
umarły leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umierały obie,
że choć po śmierci najstarszego syna
oczy się moje do snu nie zawarły,
a nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
dwie moje córki zabite zarazą,
wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
i porzuciły nas! — i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowym?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,

zawsze zachodzi za tą piasku górą,
zawsze to niebo nie splamione chmurą;
a mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
że słońce słońcu nie równe złotemu;
i już nie takie, jakie było wczora,
ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgon
mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
tak mi się mgliste zdawało i grube
ziemi wyziewem i słońca purpurą,
że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
i nawet moje dzieciątko najmniejsze
żyło i kwiatkiem nie chciało usychać —
ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina,
gdy patrząc na twarz najmłodszego syna
śmierć zobaczyłem. — Ach, ja go tak strzegłem! —
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
nikt by nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
stawał się jak mój trup pierworodzony
z jasnego bladego, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie, —
więc zawołałem głośno: „Śmierć w namiocie!“ —
I pochwycając go z takimi trądy,
wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
aby go tam śmierć zgrzyła do ostatka;
i żeby na to nie patrzyła — matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:

„Oby nie umarł! lub się był nie rodził!” —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
i patrzył; — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy konał w moim ojcowskim uścisku,
chciałem go spalić na popiół w ognisku;
lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
wyrwałem trupa i rzuciłem straży. —
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
i lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
i pod namiotem tym zapowietrzonym
żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
i śmierć przed samą śmiercią udawali
myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
już omdlałego na boleści świeże,
już mówiącego: „Niech Bóg wszystko bierze!” —
Miałem na syna trzeciego cierpienia
powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
najmniej kochany w moim rodzinnym gronie
i najmniej z dzieci płakany po zgonie.
Toteż Bóg jemu wynagrodził za to,
bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
ale chciał tylko lice swoje wrazić
w serca nieczułe, oczy nam przerazić
i wiecznie zostać w rodziców pamięci
z twarzą, co woła: „Jesteście przekleci!” —

Skonał. Myślałem wtenczas — o rozpaczy! —
że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
jeśli Anioła śmierci przyśle po nie:
dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
taka wesola, kiedy moją głowę
do lilijowych brała chłodzić rączek,
kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
około cedru biegła po trawie,
jak pracowity snując się pajęczek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
ona robiła — i te smutne oczy
ona rąbkami złocistych warkoczy
tak przesłaniała, że patrzałem na nią
jako na różę, przeze łyzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona jak jaśni anieli obrońce
najmniejsze dziecko w kołysce strzegła.
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
i wszystkie nasze oplakała ciosy,
i wszystkie nasze łyzy — wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
i naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięty chmury,
ujrzałem moje dwie umarłe córki.
Przyszły, za ręce trzymając się obie,
i pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
poszły, oczyma cichymi błyszczące,
nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Słyszy cicho, zwolna, schylały się nisko
nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;

potem na moją najmłodszą dziewczynę
obiedwie — ręce położyły sine!

Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
klnąc wołam dziko: „Hatfe! moja Hatfe!“ —

Przysła jak ptaszek cicho po kobiercu,
rzuciła mi się rączkami na szyję;
i przekonałem się, że Hatfe żyje,
słyszac jej serce bijące na sercu.

Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć. —

Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?

I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!

I ta mi córka na rękach umarła!

A była jedna najstraszniejsza chwila —

kiedy ją bole targały zabojece,
wołała: „Ratuj mię! ratuj, mój ojcze!“ —

I miała wtenczas czerwone usteczka
jak młoda róża, kiedy się rozchyła. —

I tak umarła ta moja dziewczeczka,

że mi się serce rozdarło na ćwierci —

a piękna była jak Anioł — po śmierci!

Przyszli nade mną płakać nieborakiem
strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.

I nieostrożni zaczęli hakiem —

hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą...

I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —

tu ją pod moimi oczyma rozdarli. —

Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!

Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonymi na piersiach rękoma
siedziała trzy dni matka nieruchoma
w kącie namiotu, żółta jakby z drewna.

Dziecina stała się blada i rzewna,

bo mleko matki zaczęło wysychać;

i co dnia było płacz w kołysce słyhać.

A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie!

ona inaczej wydaje się tobie,

może złocista, jasna i weselna?

Lecz dla mnie jest to równina piekielna!

Przez tę równinę, przez te piasku kupy

ciągnęło śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije:
dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
a kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
śpiewającemu słyshał muezina:
jakby się nad mym ulitował losem,
zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
krzycząc ze swego piaskowego stoga
nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!
szumem pożaru, co miasta zapala,
trzęsieniem ziemi, co gródy wywraca,
zarazą, która dzieci mi wytraca
i bierze syny z łona rodzicielki.
O Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
zaczęło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego — córki go uprzedły —
płótna na rosie poczerniały, zwiędły
i podarły się, i lekko napięte
były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
i wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
co zlatywały się tutaj o brzasku
jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna.
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!
z wieczora huczeć już zaczęło morze,
i słońca się krąg pochował ponury,
i niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
ciemna, od gromów czerwoności widna.

Jeszcze dziś czuję i widzę, i słyszę,
słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze;
jak się nade mną w ciemności kołysze
i od piorunów się cały czerwieni,
podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho
i z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
jak moim dzieciom takiej nocy w grobie.

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
w kołysce z cicha zapłakało dziecko —
a płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
rzuciliśmy się gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
to tak wydawał się obojgu głośny,
i tak rozdarty, i taki żałośny,
i tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
i tak rozumny! i taki przeklęty!!!
żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
i bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby!
I poszło leżeć między trupy bratnie,
moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
i już nie wróci nigdy! — o rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
leżało dziecko na stole nieżywe,
nieruchomością śmierci przeraźliwe.

Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
że gdyby mogło choć tak z nami zostać
przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A to już — ani zarazy strażnicy,
ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
gdzie się nam trupia otwierała brama,
ale je matka tam zaniosiła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojdziesz? — zamiast nas połączyć
boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
zaczęła jakieś jady w serca sączyć
i teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści
i stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
w pustym namiocie między mną i żoną?
pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci
jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
zgoła innego jęku ni szelęstu....
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał:
bo nachyliłem się był i posiwiął,
a żona moja od niespań i troski
była jak bursztyn albo żółte woski;
na głowie miała z włosów siwy wieniec,
jakiś okropny ceglany rumieniec,
a oczy pełne takiej błyskawicy,
jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy udźrzwę,
tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy. —

Zdrów byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy;
żona, co nawet nie tknęła połowy,
nad piersiami się uderzywszy zbladła
i zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewiasty,
zaniósłem w namiot i rzuciwszy brzemię
upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
że chciała z grobu swojego dzieciątka
jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
włoska w złocistych na głowie obrączkach;
i ta po dziecku umarłym pamiątka —
patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
te włoski złote i tak dzisiaj święte,
w mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
bo biedna matka miała tyle mocy,
że odkopała dziecko o północy;
znalazła jeszcze nie zepsutym wcale,
pocałowała w usteczek korale
i znów włożyła do trupich obsłonek —
te upominki i ten pocałunek,
zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdzieciniali — starzy —
w pamięci mojej — żadnej żywej twarzy,
tylko te sine i okropne lica,
które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny, i w noc każdą ciemną
oni tu byli w tym namiocie ze mną;
gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,

w których rozmawiał ze mną tłum gróbowy;
i często dziwnym natrafiłem losem
na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnięcia
po nocy hyjen przeraźliwe wycia
tam nad trumnami... i słuchałem błądy,
jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dnie i tygodnie
bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach, Boska nade mną opieka!
patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
i ach! — nie była to już twarz człowieka,
lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzął z twarzą tak litośną,
że rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
będę wrywał koły i powrozy,
które... (o Boże wiekuisty, świeć mi!...)
do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomoż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! Ja wiem, że te płótna
śmierć od zarazy? Ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,

wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
a na nich — patrzaj, osiem juków próżnych.
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
i tam mój cmentarz — a tamtędy droga. —

[1837—1838]

PODRÓŻ NA WSCHÓD (WYJĄTKI)

PIEŚŃ I

WYJAZD Z NEAPOLU

1

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
sentymetalna; bo kończy się sierpień,
bo z końcem sierpnia i koniem, i łódką
puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... gdzie jadę, powie drugie canto.

2

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,
skąd się wybrałem, po co i dlaczego.
Chrystusa diabeł kusił i mnie kusi.
Na wieży świata postawił smutnego
życia nicością i pokazał wszędzie
pustynie, mówiąc: „Tam ci lepiej będzie.“

3

A jednak gdyby mniej pamięci bolu,
zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,
to by mi dobrze było w Neapolu,
gdzie przed oknami na prawym przyłądku

widziałem szare więzienie stolicy,
a zaś Wėzuwiusz górą po lewicy.

43

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko! dziecka kochanko, bądź zdrowa.
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
co nieraz kładła koralowe grona
na twoje włosy, siądziesz zamysłona,

44

jeżeli książkę położysz przy sobie,
jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie,
kart nie odwracaj... bo nim spoczne w grobie,
będę ci śpiewał jak mrące łabędzie
tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
łez brylantowych osypią cię deszcze. —

45

I łzy się żywe rozbiegną po łonie,
i strumień palce różowe otworzy,
jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny; jak w zorzy
gwiazda niktąca — błądy; lub z obliczem
pełnym promieni Boskich... albo niczem.

46

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
słyszał o słońca mówione zachodach
modlitwy moje; wszystkie nie za siebie,
a tak rozlane na świat, jak na wodach
mórz lazurowych rozlewał się cały
krąg tonącego słońca — skrawo biały...

47

jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
do tego życia, co mi dał, przywyknąć
i nie przeklinać... i drogą bezludną
iść po tym świecie szalonym, i niktąć,

co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
myślą tą modlić się... i nie przeklinać,

48

jeśli i Boga nie zwiodła udana
spokojność moja, ta Chrystusa szata
krwią poplamiona i drugi raz wdziana
na duszę pełną bólu i ze świata
uciekającą na chmurach jesiennych,
we dnie tak smutne jak noce bezsennych:

49

to mojej duszy dobytej z popiołów
da wiele ciszy — i na jaką bladą
gwiazdę, do smutnych krainy aniołów
przeniesie senną...

PIEŚŃ VI

NOCLEG W VOSTIZY

[14]

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
w swojej opiece — szczęśliwe te kraje,
co mają drzewa — na miejscu oberży —
siane po łąkach — gdzie płaczą ruczaje —
wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
Nagle krzyknąłem... „Do krośset tysięcy

[15]

milionów...“ — tu mi kochany Eurypid
słowo Eumenid — dał do wykrzyknika,
a mój towarzysz rzekł: „*Mais c'est insipide*
spać tu... w tej klatce, co ma kształt kurnika;
comment, Giuliano! (tak się zwał nasz sługa)
w Vostizy musi być oberża druga!“

[16]

„*Non c'e*“ — rzekł sługa... „Więc spać tu — na ziemi?
Wszak to nie ściany — lecz z huczywy krata,

pajęczynami wybita czarnemi.“ —
A ja dodałem: „Jak horyzont świata
zawarty zewsząd... bez okien, którądy
dusza by mogła wyjść za zmysłów błędy...”

[17]

I zakończyłem słowami: — „Daj świecy!”
„Świecy!” — rzekł kompan — „wszak tu wiatr zagasi
słońce w lichtarzu — księżyc w szabaśnicy.”
Rzekłem: „Giuliano — hej! *tho se mu krassi...*
gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? — nie ma? — więc *tho se mu psami.*”

[18]

To się po grecku znaczy: daj mi chleba.
Przyniosł... postawił... i znowu zapytał
bardzo układnie: „Czego panom trzeba?”
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
zdjęty przecuciem, nieszczęśliwych wrózek
nie spodziewając się, wołałem: — „Łóżek...”

[19]

„i światła... światła... tu jak na biegunie
północnym ciemno — i wiatr wszędy świszczę;
pusto jak w zgniłym orzechu świstunie“ —
tu mój towarzysz rzekł: „Więc ja przepiszczę
na hebanowym moim flażolecie
tę noc, przepędzę ją najlepiej w świecie.”

[20]

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon —
lecz ledwie zaczął [.....] otwory,
przegrywać — jakiś głos: „*I beg you pardon,*
but I don't like the music. I am sorry“ —
z prawej się strony wydo był przez kratki:
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

[21]

I była Babel okropna języków,
aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka

zeszła parę płonących knocików
i dwa napięte jak struny krosienka;
to były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
tłumaczę jaśniej: to, na czym się leży...

[22]

Ach, leży tylko — bo wszystkie zefiry
zbiegły się do nas — i wiatr z nami płaśał,
a dar krosienek... jako Dejaniry
koszula — gdzie się go dotkniesz... tam kąsał —
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał,
i byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

[23]

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
samemu sobie bardzo poetycznym:
na skały igle — na ruin terasie
w usposobieniu umysłu vehmicznym,
kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
trzykrotnym głosem: Biada! biada! biada!

[24]

gdy patrzy w słońce o zachodzie krwawsze,
kiedy się żegna z kim — i przy miesiącu
mówi z westchnieniem głębokim: „Na zawsze“;
gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
dobędzie noża — i obcina skoki....
gdy nań piorunem strzelają obłoki —

[25]

w chwili — gdy skończy szkoły i nauki,
gdy go za rękę uściśnie sam rektor —
gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
obsiądą — gdy kraj obroni jak Hektor —
albo gdy myśli o zbawieniu Łachów,
gdy wygra partią bilardu — lub szachów...

[26]

albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
i na kochanki usiądzie mogile....

albo gdy mówi doń kto: „Czy pamiętasz Paryż?“... Są różne poetyczne chwile, kiedy na przykład w towarzystwie znanym siądziesz po środku — na cenzurowanym...

[27]

albo gdy ciebie nazwą obskurantem, to jest, że możesz zgasić oświecenie; albo gdy jesteś dział asekurantem i w Napoliońskie wierząc przeznaczenie, słuchasz bez drżenia — kul lecących świstu... gdy *Comte* — przeczytasz na kopercie listu,

[28]

gdy... i tam dalej... z tych miłości własnych żadna nie przyszła mię do snu kołysać... Przy dwóch światełkach jak gwiazdy niejasnych chciałem z krosienek moich wstać i pisać, czekając zorzy różanego świtu... Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

[29]

I zawołałem: „Ty śpisz, Eneasz, a tu deszcz na nas leje się z dachówek!“ Wnet rozbudzeni oba na poddaszu, więcej do czynu — sposobni niż słówek, wściekać się więcej zdolni niż lży ronic, przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić....

[30]

Szczęściem, że w ścianie, uwitej z sośniny, po obu stronach były dwie framugi — ach, nie framugi — zaczęte kominy. Więc ja jak krótki — mój kompan jak długi, oba jak dłutem z marmuru wycięci, w niszach przeciwnych... kto by rzekł, że święci....

[31]

Przy naszych nogach zapalone lampy, ręce złożone na piersiach pobożnie.

Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta,

[32]

lub jak mumija w ścianie piramidy —
niech porównania dalej lecą kłusem...
Byliśmy jako ów posąg Tetydy,
zakryty wody srebrzystej obrusem,
stojący sucho w wodnej samolówce,
który czytelnik ujrzy w Sofijówce.

[33]

Tu wychyliwszy głowę mój towarzysz
głosem żalonym rzekł: „Czy żyjesz?“... „Żyję.“ —
A on mi znowu rzekł: „O czym ty marzysz?“...
A ja mu rzekłem, że się nie ukryje
żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

[34]

Cnota skarb wieczny — cnota klejnot drogi,
nie spali ogień... A kompan: „Nie słyszę;
woda tak szumi, już mokre mam nogi...“
A ja mu na to: „Cierp, a ja opiszę
nasze cierpienia ściągnięte bez winy
i przedam wiernie córkom Mnemozyny...“

[35]

I kiedyś w późne wieki wstanie mściciel,
i tu postawi hotel, gości Panie!
Tu, na tym miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
mógłby duszeczki kąpać jak w Jordanie;
tu, gdzie stoimy, ja ci przepowiadam,
że stanie hotel... tu, gdzie w nurty padam“.

PIEŚŃ IX

[1]

Jest na korynckiej górze mała grotka,
figowym drzewem od wejścia zakryta,
i tam odbiegła mię moja tęsknota;
stamtąd albowiem oko tęskne wita
kraj cały — żyzny — zielony — szeroki,
przerźnięty wstęgą Korynckiej Zatoki.

[2]

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
oko na morze to błękitne wpłynie,
to zamyślane odwrócić się nie chce,
tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

[3]

A tam, na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt... już myślisz, że tam kolumnady,
jakich wzrok często północnika łaknie;
lecz Korynt dzisiaj — to chatki gromady,
nad nimi kolumn niewielkich wierzchołek,
a matką wszystkich kolumn — ten kościółek.

[4]

Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki
miotłami z ziemi zmiatały na kopce
czarne od prochu korynckie rodzyńki,
a na kolumnach ściętych mali chłopce,
pasterze, w dudki z trzciny wycięte grali,
kilka baranów sennych, i tam dalej.....

[5]

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek.....
lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
ten smutny kolumn już bezzennych wianek,

te drzewa żywe, co z marmurowemi
takimi są tu nieraz przyjacioły,
jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

[6]

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy...
Pełny baranów cień każdej kolumny
i pełny owiec cień każdej oliwy,
a pasterz na te cienie patrzy dumny,
bo są jak sznury pereł dla kochanki,
a w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

[7]

Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
na śpiące owce... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
i Jowisz rzadko tu piorunem karze...
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny....
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

[8]

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem tej winnicy?
panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
nad którą Parnas — w hełmie z błyskawicy,
czuwa — i ciche sny bogów nastęcza,
co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

[9]

O słońca wschodzie wstawałbym — pobożny,
od moich owiec raniej — od jaskółki;
do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
z Hymetu by się zlatywały — pszczołki
i kładły miody w złamanej kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

[10]

Na mej policy... czara starożytna
i pełna wina starego amfora;
przed chatą — jaka Najada błękitna,

wylewająca łzy w ciszy wieczora,
brzęcząca smutno o marmur wymyty;
kilka drzew... kilka malw z jasnymi kity

[11]

i sad, gdzie ciemna liśćmi cytryna
słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
pod którą wcześniej noc już być zaczyna,
noc sprzyjająca myślom zadumanym,
zielonociemna, cicha, wonna, świeża,
noc dla poety i owiec pasterza.

[12]

O wy, Amora słudzy, wietrzne duchy,
z motylowymi skrzydłami wietrzniki....
ja bym rozesłał was gdzie na podsłuchy
i przez was wiedział natury tajniki,
i co wieczora, pijąc nektar słodki,
strącałbym z czary — was mówiących plotki.....

[13]

o różnych ludzkich miłościach tajemnych,
o sercach, które nie kochane — pękły,
o skarbie w straży aniołów podziemnych;
a gdybyście mi o czym smutnym jękły,
o jakim kraju, co leży w mogile,
wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

[14]

skąpałbym całych w czerwonym falernie,
malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
między róże gdzie zarzucił ciernie
lub wziąwszy za łeb — zrobiłbym go frygą,
aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

[15]

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
kiedy się dla nich cały baran piecze,
pokazaliby słońcu, co zachodzi,

w piryjskim tańcu — wydobyte miecze;
przed nimi z twarzą jasną i wesołą
grałbym na lutni — i prowadził koło.

[16]

A tam na szarej kolumny ułamku
wianek sąsiadów moich siwobrodeych,
pochyłych ludzi — przy pochyłym domku,
dawałby ręką takt — tańcowi młodych...
i przyklaskiwałby memu rymowi.
Duchy — sny — straty — starce — bądźcie zdrowi...

[17]

Czy nie widzicie, żem chory? — szatanizm,
bajronizm — siedem mnie dręczy boleści;
wierzę w religią mas — w republikanizm,
w postęp... a nawet wierzę w te czterdzieści
cztery, choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpacz.

[18]

Mam także ufność wielką w jezuicką
reakcją... lecz się nie łączę i czekam;
tymczasem trudnię się mową sanskrycką
i z Europy znudzony uciekam
jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
i chce przekonać ludzi — że coś robi.

[19]

Najwyćwiceńsi w tej sztuce kłamania
niewarci są mi rozwiązać trzewika;
ciągle mam czarny palec od pisania
i w oczach ciągle coś na kształt płomyka
poetycznego... stąd mię częściej wita
poetą — ten, co widzi, niż co czyta.

[20]

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.

Nie bój się — niech je twa krytyka płatnie,
od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,
te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.

[21]

Te strofy są złe — no więc na to zgoda;
niepoetyczne... zgadzam się i na to....
Chodźże tu do mnie.... patrz... błękitna woda
igra pod moją kaiką skrzydlatą;
łódka przez fale rozbudzone pędzi
jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

[22]

Przez nachylone żagle księżyc blade
pokazuje mi majtki zadumane;
stoją jak dawni rycerze Hellady,
o maszt oparci.... złotem haftowane
pancerze mają i białe kapoty....
księżyc jest na nich błękitny i złoty.

[23]

Oni umieją zostać nieruchomi
jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
i z żagłów — muszle porobi srebrzyste,
w których się oni... na pół skryci — mieszczą
jak duchy — myślą wywołane wieszczą.

[24]

I cicho, i wraz.... o! godzino święta,
łódka się w morskie rzuciła głębiny
i z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...
to była pierwsza fala Salaminy:
spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
i wstrzęsa mnie tak... i jęka, i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce już było bliskie swego wstania;
myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
stanie w piorunach — jak Bóg na Synaju.

[1836—1839]

P O S Ł O W - I E

POSŁOWIE

O swym dzieciństwie i wczesnej młodości Słowacki pisze w zamieszczonym na początku niniejszego tomiku poemacie „Godzina myśli“. Jest to właściwie utwór półliryczny i dlatego znalazł się wśród liryków, gdzie bardziej jest na właściwym miejscu niż wśród poematów. Umieszczenie go na wstępie wyboru poezji pozwala od razu wniknąć w atmosferę, w której przyszły poeta wyrastał z dziecka w młodzieńca, co nie może być obojętne dla należytego zrozumienia dalszej jego twórczości.

W „Godzinie myśli“ widzimy „dziecko z czarnymi oczyma“ otoczone cieplarnianą atmosferą domu rodzinnego, pod pieczą opieką matki i dwóch sióstr przyrodnich. Uzupełnić to można stwierdzeniem, że dom to był typowy dla warstwy urzędniczo-mieszczańskiej, mającej pewne skłonności do arystokracji. Widoczne to jest u wszystkich postaci tego domu: matka poety, pani Salomea, spędza czas na czytaniu francuskich romansów, jest osobą przewrażliwioną, sentymentalną; ojczym — profesor Uniwersytetu Wileńskiego (podobnie jak i zmarły w 1814 roku ojciec poety Euzebiusz Słowacki), słynie ze swej elegancji i wytworności; obie przyrodnie siostry wychowane są na światowe damy. Arystokracizm widoczny jest i w prowadzeniu salonu artystycznego, w którym co tydzień zbierają się najwybitniejsi przedstawiciele świata artystycznego i naukowego Wilna. Jest to zresztą salon postępowy, jak postępowi byli na ogół przedstawiciele twórczości artystycznej i nauki w ówczesnym Wilnie, ale była to postępowość właśnie salonowa: przejawiała się w poglądach na sztukę, w dyskusjach naukowych, w pewnym liberalizmie religijnym, w teoretycznym uznawaniu konieczności reform społecznych... Cicho natomiast było tu o sprawach najbardziej palących: o wzrastającym ucisku politycznym — o niewoli Polski, i społecznym — pańszczyźnie. I nie dziwnego: pani Salomea daleka była od tych nieromansowych spraw, a jej mąż otwarcie wysługiwał się słynnemu polakożercy, carskiemu senatorowi Nowosilcowowi.

W takim to salonie dokonywał się jedyny, w tym czasie kontakt małego Julka z szerszym światem.

Nie więc dziwnego, że „Godzina myśli“ daje obraz dziecka całkowicie izolowanego od zewnętrznego świata, dziecka zamkniętego w swych osobistych przeżyciach. Na próżno szukalibyśmy tu choćby drobnych szczegółów z obrazu ówczesnej rzeczywistości jeżeli nie polskiej, to przynajmniej wileńskiej. To są sprawy poza zasięgiem myśli i uczuć przewrażliwionego, przedwcześnie dojrzałego umysłowo, ale słabego fizycznie „dziecka z czarnymi oczyma“.

Alé i obraz tego dziecka nie jest zupełnie wierny. Utwór ten Słowacki pisał w roku 1832, mając już 23 lata. Na swe dzieciństwo i wczesną młodość spojrzął oczyma człowieka prawie dorosłego, a przede wszystkim oczyma poety-romantyka. Stąd wyraźny „retusz“ tego obrazu.

„Zretuszowany“ więc w stylu romantycznym jest obraz zainteresowań obu chłopców (drugim jest przyjaciel Słowackiego z ławy szkolnej — Ludwik Szpicnagel), ich pesymizmu, goryczy, niechęci do ludzi; nawet fakty prawdziwe nabierają tu często zabarwienia romantycznego, którego w przeżyciach dzieci mieć nie mogły. Tak jest np. z obrazem młodzieńczej miłości Słowackiego do Ludwiki Śniadeckiej. W oświetleniu „Godziny myśli“ ta miłość 15-letniego chłopca do starszej od siebie panny nacechowana jest przesadną powagą i goryczą (np. myśli samobójcze) i zbyt dużo zajmuje miejsca w przeżyciach chłopca. Nie można zaprzeczyć szczerości uczuć Słowackiego do Ludwiki, bo uczucie to zbyt wielką rolę odegrało jako wspomnienie w dalszym jego życiu, ale nie można też uwierzyć w prawdziwość takiej miłości, jaką sam poeta ukazał nam w omawianym utworze. Jest to właśnie „retusz“ romantyczny przeżyć i uczuć, które w rzeczywistości były nie tyle romantyczne, ile uwarunkowane wrażliwością nerwową chłopca, jego wåtłością i delikatnością fizyczną, jego wreszcie podkreślonym wyżej izolowaniem od świata zewnętrznego.

Z drugiej jednak strony „Godzina myśli“ daje najprawdziwszy obraz nie życia Słowackiego, ale właśnie romantyzmu. Warto się temu przyjrzeć.

Początek wieku XIX jest okresem rosnącego nastroju zawodu i niezadowolenia w postępowych odtamach społeczeństw europejskich. Przyczyną tego nastroju jest coraz silniejsze zamykanie się zdobyczy Wielkiej Rewolucji: na Zachodzie, gdzie rozwija się przemysł, system gospodarczy staje się kapitalistyczny, na Wschodzie — w krajach rolniczych — wzmacnia się system feudalny; na podłożu tych systemów rozwija się coraz ostrzej dążenie do absolutyzmu. Szerzy się więc ucisk polityczny i społeczny, a ukoronowaniem tych dążeń jest Kongres Wiedeński w 1815 roku.

Wszystko to wywołuje niezadowolenie społeczeństw, wewnętrzny bunt lub jawne protesty, a przede wszystkim nienawiść do nowego układu stosunków, nienawiść do współczesnego świata. I to właśnie jest romantyzm.

Przejawia się on bądź to w ucieczce od znenawidzonej rzeczywistości w świat marzeń, w przeszłość, do mała znanych i tajemniczych krajów pozaeuropejskich..., bądź to w ostrej krytyce współczesności..., bądź wreszcie w otwartym buntowaniu się przeciw nowym porządkom w świecie i rewolucyjnym nawoływaniu do walki z nimi.

Wszystkie te cechy romantyzmu znalazły niezmiernie silny wyraz w życiu i twórczości angielskiego poety Byrona. Sam arystokrata — zrywa ze swą sferą i ośmiesza ją w sposób graniczący ze skandalem, wydalony z Anglii tuła się po całym niemal świecie, głosząc hasła wolnościowe a jednocześnie imponując swym nie liczącym się z ustalonymi formami trybem życia, w którym współcześni widzieli przede wszystkim przejaw swobody osobistej; w twórczości swej daje przejmujące obrazy niesprawiedliwości świata i beznadziejnej z nią walki prowadzonej przez jednostki skrzywdzone lub nie mogące znieść ograniczenia własnej swobody; w końcu wstępuje w szeregi powstańców greckich walczących z niewolą turecką i w ten sposób czynem potwierdza swą poezję.

Ten to poeta romantyczny stał się wzorem dla młodego Słowackiego, który rozczytywał się w jego poezjach i tak się nimi przejął, że jeszcze po latach powie w „Beniowskim“: „Nie Polak jestem, ale istny byronista“. I ten byroński ton nadał swym dziecięcym-młodzieńczym przeżyciom pisząc „Godzinę myśli“. Jeśli więc na utwór ten spojrzemy jako na wyraz owego nastroju niezadowolenia z rzeczywistości współczesnej, jeżeli w izolowaniu się od świata zewnętrznego i zamykaniu się w swych wewnętrznych przeżyciach dojrzymy ucieczkę od tej rzeczywistości, a więc pewną formę protestu przeciw niej, to „Godzina myśli“ ukaże się nam jako niezmiernie ciekawy wyraz nastrojów epoki.

Wspomnienie Ludwiki odzywa się i w późniejszej twórczości Słowackiego. W przepojonych romantyczną fantazją wspomnieniach młodzieńcza miłość urosta do roli jedynego wielkiego uczucia miłości w życiu. Wymowny, pod tym względem jest wiersz „Ostatnie wspomnienie. Do Laury“, również nacechowany byrońskim tonem gorczy i pesymizmu oraz ucieczki od świata. Tylko że nie ma tu już izolowania się od świata: ostatnia zwrotka ukazuje poetę między ludźmi, ale życie wśród nich ujęte jest jako tragiczna konieczność.

Na taki pogląd czy uczucie wpływ ma nie tylko nastrój epoki, ale i zupełnie osobiste przeżycia Słowackiego, który mało szczęścia w życiu doznał. Nie miał go i w miłości. Po nieszczerliwym uczuciu do Ludwiki nie ma rzeczywistości w życiu poety wielkiej miłości do kobiety; są tylko przemijające porywy lub złudzenia. Widać to przede wszystkim w jego stosunku do Marii Wodzińskiej, młodzieńczej towarzyszkki wycieczek szwajcarskich.

Wiersze jej poświęcone wskazują, iż Słowacki raczej tędził się, że Marię kocha; że dopiero we wspomnieniach wyolbrzymał fantazją to uczucie, które w rzeczywistości było tylko przelot-

nym szukaniem miłości. Powstały jednak w tych wspomnieniach arcydzieła liryki miłosnej, z poematem „W Szwajcarii“ na czele.

Poemat ten jest właściwie obrazem marzenia o miłości, której rzeczywistość nie dała. Jest wytworem fantazji, w której pewne fakty rzeczywiste są tylko podłożem do snucia marzeń. I w tym właśnie tkwi przedziwny czar tego poematu, w którym wszystko jest zasnut nierealnością marzeń, jakby delikatną zasłoną, i w którym elementy rzeczywistości (góry, jezioro, chatka, burza itd.) splatają się z motywami fantastyki w jedną baśniową całość. Dla uchwycenia tej cechy poematu wystarczy zwrócić uwagę na opis wycieczki po jeziorze:

„... i nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
chodzić po wodach i po niebie latać,
a ona tak mię prowadziła wszędzie!

Bo ona była jak wodne boginie:
miała powozy z delfinów, z gołębi,
i kryształowe pałace na głębi,
i księżycowe korony, w noc ciemną...“

Podobne przejście od obrazu realnego do baśni widoczne jest w opisie projektu wycieczki w góry:

„Pójdziemy razem na śniegu korony!
pójdziemy razem nad sosnowe bory,
pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!

A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
i gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
i ulecieli z pelejad gromadą.“

Nic więc dziwnego, że i postać ukochanej jest tylko na pół realna, że często jej ludzkie cechy roztopiają się w baśniowości. Nawet scenę pierwszego pocałunku poeta ukazał w nierealnym ujęciu, bo jako odbicie obrazu zakochanych w wodzie.

Obok baśniowości wynikającej z marzycielskiego ujęcia tematu, uderzający w tym poemacie jest jego delikatny ton religijny: poeta modli się ze czcią do swej ukochanej jako do „anioła niebieskiego“, za bluźnierstwo uważa chwilową myśl, że jest ona tylko kobietą, a wreszcie patrzy na nią ze słowami „Ave Maria“. I jednak nie razi nas to. Powodem jest to, że owa religijność, jako wyraz uwielbienia ukochanej, wynika tu przede wszystkim z zespolenia miłości z przyrodą: to piękno i wzniosłość przyrody alpejskiej nastraja poetę religijnie, a nastrój ten w sposób zupełnie naturalny przenosi się na uczucie miłości.

Słusznie więc pisze o tym poemacie największy dziś znawca twórczości Słowackiego, Juliusz Kleiner, że „żadnego chyba utworu nie można scharakteryzować tak całkowicie jednym wy-

razem: poezja". (Kleiner: Słowacki, tom II, str. 109, Warszawa 1925).

Drugim uczuciem, które wielką rolę odegrało w twórczości lirycznej Słowackiego, jest miłość do matki. Ale i w tym uczuciu było cierpienie: za młodu Słowackiemu ciężyla przesadna troskliwość matczynej opieki, i choć kochał matkę bezgranicznie, nie miał siły ani ochoty do niej powrócić. Skazywał się na dobrowolną tęsknotę i tylko w listach i wierszach zwierzał się jej ze swych przeżyć, planów i uczuć.

Smutkiem tej miłości i tęsknoty przepojony jest wiersz „Rozłączenie”, ale wprost tragedią wewnętrznych rozterek brzmi usprawiedliwianie się w wierszu „Do matki”. Usprawiedliwianie się, któremu nie można nie przyznać racji, ale które mimo wszystko jest cierpieniem.

Nie mało cierpienie przynosi i tęsknota za ojczyzną, tak wymownie wyrażona w słynnym „Hymnie” („Smutno mi, Boże...”), w wierszu do Zofii Bobrowskiej, w pewnym stopniu i w wierszu w sztambuchu Marii Wodzińskiej.

Samotny, na obczyźnie, nie zaznawszy szczęścia osobistego, żegna się więc poeta z życiem, ze swym „na ziemi wygnaniem”, w przejmującym w swej prostocie wierszu „Bo to jest wieszczka najjaśniejsza chwata”. Łzami płynie ten wiersz, jak łzami płynęło prywatne życie Słowackiego.

Ze obok melancholii i smutku Słowacki potrafił przeżywać i wielkie uczucia, dowodem jest jego liryka, którą tu nazwalimy „ideową”. Niezbyt to może szczęśliwa nazwa, ale inną nie dałoby się objąć tego bogactwa różnorodnych tematów, różnorodnych uczuć i myśli, które występują w utworach Słowackiego pisanych na tle przeżyć wykraczających poza granice prywatnego życia, w sferę życia społeczeństwa, narodu, ludzkości.

Izolowanie się od otaczającej rzeczywistości, której obraz daje omówiona wyżej „Godzina myśli”, a co było charakterystyczną cechą lat dziecięcych i wczesnej młodości poety, zostało przerwane z chwilą wejścia na drogę samodzielnego życia. Stało się to po ukończeniu uniwersytetu i wyjeździe do Warszawy w 1829 roku. Zgodnie z pragnieniem matki Słowacki poświęca się karierze urzędniczej i wstępuje jako aplikant do Ministerstwa Skarbu. Na szczęście ta nieodpowiednia dla jego wrażliwej natury praca wkrótce się przerwała z przyczyn zupełnie przez poeetę nie przewidzianych.

Wybuchło mianowicie powstanie listopadowe. Nastrój patriotyczny, który obcy był poecie w domu, porwał go teraz za sobą i oto pojawiają się pierwsze liryki patriotyczne, wzywające do walki o wolność ojczyzny. Umieszczamy z nich tu „Hymn” („Bogarodzica! Dziewico”).

W wierszu tym Słowacki wyraźnie solidaryzuje się z warstwą szlachecko-zachowawczą, która powstanie wywołała i która decydowała o jego charakterze i przebiegu. Widoczne to jest w łączeniu motywów patriotycznych z religijnymi i w odwoły-

waniu się do „ojców śpiewu“. Ale jednocześnie wyraźne są w „Hymnie“ motywy świadczące o skłanianiu się poety ku ideologii społeczno-rewolucyjnej, której hołdowała część młodzieży patriotycznej w Warszawie. Stąd w wierszu tym wzmianki o oczekiwaniu na rewolucję w carskiej Rosji („Wolności pieniem wrzuszę zimne granity Newy“), stąd także przeprowadzenie granicy między rządem a narodem rosyjskim („I tam są ludzie — i tam mają duszę“). W ten sposób Słowacki staje w szeregu tego odłamu inteligencji polskiej, z którego po niedługim czasie wytoni się polska myśl radykalna i z której wyjdą niedalecy działacze rewolucyjni roku 1848. Zresztą trzeba zauważyć, że Słowacki nie przystąpi nigdy do jakiegos ugrupowania politycznego, nigdy nie zajmie stanowiska ściśle określonego w stosunku do ówczesnych ideologii polityczno-społecznych. Zawsze jednak będzie bliższy partiom demokratycznym i rewolucyjnym niż szlacheckiemu stronnictwu Czartoryskiego.

Pobyt na emigracji, przede wszystkim w Paryżu, gdzie żywe były tradycje Wielkiej Rewolucji i bardzo świeże wspomnienia Rewolucji Lipcowej, wpłynął wyraźnie na dalsze krystalizowanie się poglądów poety. Oto wkrótce po przybyciu do stolicy Francji pisze wiersz „Paryż“, w którym sympatie dla rewolucji występują już zupełnie wyraźnie, choć jeszcze zaciemnione nastrojem grozy przed rewolucyjnym terrorem. Widać to w przepojeniu całego wiersza motywami krwi, mordów, cmentarzy. Ale i to ulegnie przemianie. W roku 1845, a więc w obliczu zbliżających się ruchów rewolucyjnych „Wiosny ludów“, Słowacki pisze „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości“, gdzie motyw terroru ujęty jest już jako konieczność w procesie rozwoju życia ludzkości. I choć ten rewolucyjny ton „Odpowiedzi“ ma zabarwienie mistyczne, niczym to nie umniejsza jego znaczenia na tle zrewolucjonizowanej Europy ówczesnej.

W wierszu tym Słowacki stoczył ostrą walkę z ideologią arystokratyczno-szlachecką Krasińskiego. Krasiński mianowicie wydał w tym czasie „Psalmy przyszłości“, w których przeciwstawił się rewolucyjnym hasłom szerzącym się w kraju. Jeden z wybitnych działaczy politycznych, Henryk Kamiński, wydał w Poznańskim „Katechizm demokratyczny“, w którym głosił, że tylko na drodze rewolucji społecznej Polska może odzyskać niepodległość i że rewolucję tę przeprowadzą warstwy uciskane. Szlachta ma do wyboru albo pójść za ludem, a wtedy nie jej nie grozi, albo bronić się przed nowym porządkiem, ale wtedy lud będzie musiał uciec się do terroru. Krasiński ujrzał w tych hasłach nawoływanie do rzezi szlachty i wystąpił w „Psalmach“ z hasłem „jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud“; wysunął pogląd, że tylko szlachta powołana jest do walki o niepodległość Polski i przyszłość świata, ponieważ jest duszą narodu. A lud — to śpiący olbrzym, który przez szlachtę musi być obudzony i poprowadzony do walki.

Odpowiedź Słowackiego nie zostawia żadnych wątpliwości co do jego poglądów na drogę, po której pójść musi walka o przyszłość świata:

„...więc się bój!
Polski lud — to Ojciec twój —
zeń, jak z cierniowego krzaka,
gotów znowu Bóg wybuchnąć,
z wichrów uwić płaszcz i lice,
i na ciebie — jak na świecę,
iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć.“

Tej wierze w moc twórczą ludu i w rolę, jaką lud odegra w budowie nowego świata, Słowacki pozostanie wierny do końca. Świadectwem tego może być na schyłku życia napisany wiersz „Wyjdzie stu robotników...“

Jak już wspomniano, ideologia społeczno-rewolucyjna Słowackiego rozwija się na tle mistycznym. Jest to znowu dowodem, jak silnie twórczość jego wiąże się z prądami nurtującymi ówczesną rzeczywistość.

Jedną z form protestu przeciw panującemu uciskowi politycznemu i społecznemu, obok romantycznej ucieczki od rzeczywistości i obok krytyki panujących stosunków — jest także tworzenie systemów filozoficznych, które miały na celu wytłumaczyć sens panującego zła i wskazać istniejące we współczesnej rzeczywistości zarodki przyszłego doskonałego świata. Na tym tle powstały najbardziej z tych systemów wartościowe, bo postępowe, jak na owe czasy, idee utopijnego socjalizmu, ale wyrosły jednocześnie i pomysły zupełnie pozbawione realnych podstaw: Takimi były idee mesjaniczne, takim też był system głoszony przez „pro-roka“ Towiańskiego. Postać Towiańskiego nie jest jeszcze należy-cieświetlona. Są jednak poważne poszlaki, że był on emisariuszem rządu carskiego i że celem jego było rozbięcie polskiej em-gracji. W każdym razie w ideach Towiańskiego sprawa walki o niepodległość była ujęta jako grzech, ponieważ jedyną drogą do przyszłego doskonałego świata jest doskonalenie się ludzi. Mętnym pomysłem Towiańskiego uległ nawet Mickiewicz, po-ciągając za sobą znaczny odłam emigracji. Na krótki czas pod-dał się temu prądowi i Słowacki, czego wyraz mamy w wierszu „Tak mi, Boże, dopomóż“. Uderzająca jest modlitewna powaga tego utworu i panujący w nim ton głębokiej wiary w prawdzi-wość głoszonych zasad; dlatego to dotychczasowe swe życie Słowacki ujmuje tu jako „śmiertelne łożo“ i jako umarłych widzi tych wszystkich, którzy za „prawdą“ nie idą.

I na jeszcze jedno warto w tym wierszu zwrócić uwagę: na panujący w nim ton pokory wobec Boga („Z pokorą teraz padam na kolana...“), a jednocześnie ton wielkiej, niemal wład-czej mocy w stosunku do innych ludzi („Idę z przestroga — kto żyw — pójdzie za mną...“, „Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położyć...“ itd.). Nie jest to w twórczości Słowackiego nowe. Oba te motywy przewijają się w jego utworach bardzo wyraźnie od lat najwcześniejszych. Z jednej bowiem strony jest on naturą wybitnie religijną (choć nie w znaczeniu wierności dogmatom kościelnym czy korzenia się przed władzą papieską), z drugiej — ogromny kult dla wszelkiej wielkości. Korzy się więc przed Bo-

giem, którego wyobraża sobie na wzór groźnego Jehowy starohebrajskiego (por. „Odpowiedź na Psalmy”, zakończenie IX pieśni „Podróży na Wschód”), ale gdy chodzi o ludzi, to tylko wielkich w bohaterstwie, w walce, uznaje za godnych szacunku; w stosunku do zwykłych „zjadaczy chleba” ma tylko słowa pogardy.

I znowu jest w tym całkowita zgodność z duchem epoki. Bo romantyzm występując przeciw współczesnej rzeczywistości, przeciw rosnącej sile kapitalizmu, wyraża najwyższą pogardę dla pogoni za pieniędzmi, bankierstwa, produkcji fabrycznej, handlu itp. zjawisk, które romantycy, oceniali jako sprawy „przyziemne”. Tej prozie przeciwstawia wielkość bohaterских a poetycznych czynów dawnego rycerstwa, dawnych męczenników, dawnych reformatorów. Tym się np. tłumaczy tak powszechny w tym czasie kult Napoleona, co u Słowackiego widoczne jest w jednym z najpiękniejszych jego wierszy lirycznych — w wierszu „Na sprowadzenie prochów Napoleona”.

Żądanie wielkości dla siebie i dla innych jest jednym z najważniejszych motywów w twórczości naszego poety. Już we wczesnej twórczości widać u niego skłonność do bohaterów walki i poświęcenia się, płacących cierpieniem za swą wielkość. A więc tajemnicza postać Rzewuskiego pociąga młodego Słowackiego swoją niezwykłością w miłości, walce i śmierci, nieszczęsny Jan Bielecki — swym cierpieniem i walką o sprawiedliwość wbrew wszelkim prawom i zwyczajom. Polakom, którzy nie potrafili wykazać wystarczającej wielkości w walce o niepodległość, przeciwstawia niezłomne bohaterstwo Leonidasa („Grób Agamemnona”), a w „Testamencie” nakazuje iść na śmierć „jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec” i nie załamywać się ani nie tracić ducha w prozaicznym życiu „zjadaczy chleba”.

Naród musi być wielki, jeśli ma żyć! Słabi, mali, to karty duchowe, nie ludzie. Tacy nie mają po co żyć! Więc dalej galeria bohaterów: kapitana Meyznera (przepiękny utwór dzięki niezwyklemu przeciwstawieniu motywów prostoty bohaterstwa i śmierci motywom realistycznie ujętych obrazów szpitalnych), beznogiego generała Sowińskiego (ujmująca prostota stylu, która podkreśla prosty sposób rozumowania starca-patrioty), Kilińskiego w „Uspokojeniu”, gdzie motyw wielkości rozciągnięty jest na bohaterstwo Warszawy...

A obok tego ostra, nielitościwa krytyka wszelkich przejawów małości: małość współczesnego Rzymu (wiersz „Rzym”), upadek duchowy współczesnej Grecji (IX pieśń „Podróży na Wschód”), skarlenie dzisiejszych Polaków („Grób Agamemnona”). Współczesnych sobie Polaków Słowacki krytykuje najostrzej: nie widzi w nich bowiem ani cienia tej wielkości, którą dostrzegał w dawnym rycerstwie. Nie umieją walczyć („po dniach nieszczęśliwych zostaje pół-rycerzy — żywych”), nie umieją cierpieć z godnością („a teraz jesteś służebnicą cudzą”), nie umieją nawet wiary w przyszłość uczynić wielką („widmo nadziei dla małowiernych serc podobne snowi”). To wszystko tylko w „Grobie Agamemnona”, tym wierszu, który kończy się

wprost obelgą rzuconą w twarz niewolniczej Polsce. Ale i w innych utworach spotkać można podobny stosunek do rodaków. Wymowny zupełnie różnym od tonu gniewu w „Grobie Agamemnona“ jest smutek przebijający z wiersza „Dajcie mi tylko jednę ziemi bryłę“:

„Już prawie jestem człowiek obłąkany,
ciągle powiadam, że kraj się już pali,
i na świadectwo ciskam ognia zdroje, —
a to się pali tylko serce moje!...“

Wielkości wymagał i od siebie, a jednocześnie wątpił, czy twórczość poetycka jest wystarczającym argumentem do wielkości. Żądał od siebie czynu, choć wiedział, że watość fizyczna nie pozwoli mu walczyć; więc wyrzucił sobie, że nie wziął udziału w powstaniu („mówię, bom smutny i sam pełen winy“ — Grób Agamemnona), wikał się w sprzecznościach na temat oceny samego siebie, raz „korzył się“ przed swoją „nicością“ („Hymn“), usprawiedliwiał się z niej przed sobą wspominając nieosiągalną wielkość dawnych Greków („Ani mię teraz moja małość wstydzi“ — Grób Agamemnona), tłumaczył we własnym sumieniu, że w miarę swoich sił spełnia swój ciężki obowiązek („ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć, to wszystko czynię — a więcej nie mogę“ — w wierszu „Los mnie już żaden nie może zatrwożyć“); to wprost przeciwnie — podkreślał swą wielkość jako poety i patrioty i przynajmniej pośmiertnej sławy widmem się pocieszał („Testament mój“), walczył potęgą słowa i myśli o przyszłą Polskę i w tej walce szukał ukojenia w wątpliwościach (zakończenie fragmentu z „Poety i natchnienia“).

A wątpliwości te na temat własnej osoby miały podstawę nie tylko we wrażliwej psychice poety, ale i w stosunku społeczeństwa do niego. Był samotny wśród ludzi, którzy go zrozumieć nie chcieli, a często nie mogli. Początkowo, np. w „Godzinie myśli“, chełpił się tą samotnością, widząc w niej dowód jakiejś wyższości w porównaniu z innymi. Ale z czasem samotność ta stała się klątwą. Stąd nuta tęsknoty za przyjaźnią („Do Z. Kraśńskiego“), stąd pełne gorczy wyrzuty („Tak więc to los mój na grobowcach siadać i szukać smulków błahych, wiotkich, kruchych...“ — Grób Agamemnona), ale stąd i poczucie własnej godności w znoszeniu losu („Testament“, zwrotki 46—49 z pieśni I „Podróży na Wschód“).

Czym to osamotnienie i niezrozumienie wytłumaczyć?

Wytyka ono przede wszystkim z charakteru twórczości Słowackiego. Idąc, jak wyżej niejednokrotnie stwierdziliśmy, za nurtem epoki, nie zawsze Słowacki umiał trafić w ton, którego domagali się czytelnicy polscy. Niektóre (z zamieszczonych tu np. poematy „W Szwacjarii“, „Ojciec zadżumionych“) raziły brakiem powiązania bezpośredniego z bieżącym życiem narodowym, inne budziły sprzeciw z powodu ostrej krytyki Polski i Polaków, jeszcze inne zbyt były odległe od sposobu myślenia i odczuwania przeciętnych czytelników.

Szukano wtedy, w poezji łatwej pociechy, uciekano od wzruszeń zbyt silnych. Pożądaną prostych wskazówek na przyszłość, odwracano się od niemiłych idei rewolucyjnych. A we wszystkim tym łącznie nie umiano dostrzec tego, co w twórczości Słowackiego jest cechą najważniejszą: jego wielkości artystycznej. Uchodżyły uwadze powszechnej niezrównane zdobycze Słowackiego w dziedzinie językowej, w operowaniu poetyckimi obrazami, w bogactwie form wierszowych i zwrotkowych, w niezwykle śmiałych przeskokach tematyki i nastroju itd. Wszystkie te wartości poezji Słowackiego można dostrzec czytając wiersze i poematy tu zamieszczone.

Bogactwo języka poetyckiego wystąpi, gdy porównamy np. wiersze o różnych nastrojach, jak gniewny „Grób Agamemnona” i pełen smutku „Hymn”, albo drwiąco polemiczny ton „Odpowiedzi na Psalm” i dziecięcy styl w wierszu do Zofii Bobrowskiej... Plastykę obrazów i ich poetycką wymowę ukazują wszystkie utwory, ale specjalnie podkreślić można opisy przyrody w poemacie „W Szwajcarii”, opis Warszawy w „Uspokojeniu”, opisy katastrofy świata w „Odpowiedzi na Psalm”. Kapryśne wprost przeskakiwanie z tematu na temat, z nastroju w nastrój — to „Podróż na Wschód”, gdzie obok siebie znajdziemy pełne powagi rozważania myślowe i melancholijne wspomnienia młodości, i beztróskim humorem nacechowane opisy przygód podróżniczych. W tymże poemacie ukazał Słowacki, do czego może doprowadzić swą swobodę w rymowaniu: rymy są tu wprost nieprawdopodobne; poeta bawi się nimi, wyszukuje trudności, zdawałoby się, nie do pokonania i rozwiązuje je po mistrzowsku. Zwróćmy tylko uwagę na kilka par rymowych: Eurypid — insipide, otwory — sorry, zefiry — Dejaniry, itd. Bawi się tu Słowacki poezją na każdym kroku: oto w końcu pieśni IX podsuwa czytelnikowi myśl, że ostatnie zwrotki są mało poetyczne; i od razu, jakby chciał pokazać, do czego jest zdolny, przechodzi do opisu niezrównanego w „poetyckości”:

„..... patrz... błękitna woda
igra pod moją kaiką skrzydłata;
łódka przez fale rozbudzone pędzi
jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi”
itd.

Kto chce wiedzieć, ile jest piękności w języku polskim, musi czytać Słowackiego!

OD WYDAWCY

Teksty wszystkich zawartych tu utworów opracowane zostały albo na podstawie pierwodruków, albo (gdy chodzi o utwory nie drukowane za życia poety) — na wydaniach gwarantujących poprawność, a więc na „Dzieliach wszystkich” Słowackiego opracowanych przez J. Kleinera i na „Dzieliach” w opracowaniu Kridla i Piwińskiego.

Teksty te jednak zostały zmodernizowane nie tylko pod względem pisowni i przestankowania, ale częściowo i pod względem językowym. Wychodząc mianowicie z założenia, że wydanie, którego celem jest zbliżenie Słowackiego do najszerszych rzesz czytelników, powinno dać teksty do czytania, a nie do studiowania, pomijamy tu wszelkie niezgodne z powszechną kulturalną polszczyzną właściwości indywidualnej wymowy poety oraz prowincjonalizmy. Piszemy więc konsekwentnie „gorzki”, „skarżyć” itp., choć Słowacki czasami (nie zawsze!) używał form „gorżki”, „skarżyć”; piszemy „zwierzę” nie „zwierze”, „wiśnia” nie „wisznia” itd. Pomijając brak konsekwencji w tej dziedzinie u Słowackiego, najważniejszym argumentem przemawiającym za taką modernizacją tekstów jest dla nas to, że przeciętny czytelnik, któremu nie chodzi o studiowanie odrębności wymowy poety, czytając będzie te wyrazy wymawiał według własnych przyzwyczajeń językowych.

Pozostały natomiast konsekwentnie zachowane wszelkie archaizmy, bo w tym wypadku chodzi już nie o indywidualne właściwości wymowy, ale o obraz polszczyzny w danej epoce.

Pisownia została dostosowana do obowiązujących dziś zasad. Nieliczne wyjątki spowodowane są wymaganiami rytmiki lub rymu. Dla rytmu występują więc miejscami formy typu „patryjotyzm”, „lilija”, dla rymu pisownia „lecić” (rym „klecić”), „skarży”, tj. skarży (rym „twarzy”) itp.

Przestankowanie również doprowadzone do reguł obowiązujących obecnie, przy czym głównym celem zmian w tej dziedzinie była chęć uczynienia tekstów jak najbardziej zrozumiałymi. Konsekwentnie więc stosowana jest zasada logiczna, choćby czasami wbrew zwyczajom poety. Z właściwości indywidualnych Słowackiego pozostawione są tylko te, które nie zaciemniają sensu zdań i nie są rażąco sprzeczne z obowiązującymi dziś zasadami.

BIBLIOGRAFIA

(wybór)

- J. Kleiner — Juliusz Słowacki, t. I—IV, Warszawa 1925—1927.
— Słowacki, Łódź 1947.
P. Chmielowski — Trzy poemata, Brody 1903.
J. Matuszewski — Wzniosłość u Słowackiego, Twórczość i twórcy, Warszawa 1904.
S. Windakiewicz — Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego, Kraków 1940.
L. Chrzanowski — Słowackiego „Grób Agamemnona” i „Testament mój”, Warszawa 1925.
W. Hahn — „Smutno mi, Boże” Słowackiego w poezji polskiej, Pamiętnik Literacki 1909.
-



KOMENTARZ SŁOWNIKOWY I RZECZOWY

LIRYKA OSOBISTA

GODZINA MYŚLI

Tekst wg pierwodruku w III tomiku „Poezjy“, Paryż 1883.

Grające sfery — muzyka, którą jakoby tworzą tony wydawane przez obracające się ciała niebieskie.

Rodzinne miasto — Krzemieniec.

Młodszy wiekiem — Juliusz Słowacki.

Drugie dziecko — przyjaciel poety z ławy szkolnej, Ludwik Szpicnagel. Skończył tak, jak Słowacki to opisał.

„Istność przedżywna ducha“ — życie duszy przed narodzeniem się ciała dla niej przeznaczonego.

„Marzenia stroił czarnoksięską szatą“ — marzeniom nadawał kształt utworów poetyckich.

„Od krain myśli nie odłamał życia“ — nie umiał w marzeniach oderwać się od rzeczywistości.

Swedenburg — właściwie Swedenborg (1688—1772) — filozof i mistyk szwedzki.

Tytani — w mitologii greckiej ród bogów, który rządził światem przed bogami Olimpu. Jeden z Tytanów, Kronos, objął władzę strącając z tronu swego ojca Uranosa.

Beduin — członek koczowniczego szczepu arabskiego, słynnego z wojowniczego usposobienia.

Koran — święta księga mahometan.

Kalif — władca arabski, namiestnik Mahometa.

Hieroglify — obrazkowe pismo starożytnych Egipcjan.

„Dziecko z czarnymi oczyma poznało miłość“ — młodzieńcza miłość Słowackiego do Ludwiki Śniadeckiej.

Milton John (1608—1674) — poeta angielski, autor słynnego poematu „Raj utracony“.

Drogman — tłumacz.



W SZTAMBUCHU MARII WODZIŃSKIEJ

Wiersz nie drukowany za życia poety. Poświęcony młodziutkiej Marii Wodzińskiej, w której poeta kochał się (przynajmniej tak mu się zdawało) podczas pobytu w Szwajcarii.

Sztambuch — (niem.) album do wpisywania wierszy pamiątkowych, wspomnień itp.

Szalet — drewniana chatka górskich pasterzy w Alpach.

Do tańcu — niewłaściwa forma gramatyczna, zamiast „do tańca“.

ROZŁĄCZENIE

Wiersz nie drukowany za życia poety. Poświęcony matce (a nie, jak mylnie sądzą niektórzy — Marii Wodzińskiej).

Kir — czarny materiał używany do strojów żałobnych.

PRZEKLEŃSTWO. DO***.

Tekst wg pierwodruku w „Tygodniku Literackim“, Poznań 1839, nr 8. Wiersz zwrócony do Eglantyny Pattey, córki właścicielki pensjonatu, w którym poeta mieszkał w Genewie. Przed zazdrośną o Marię Wodzińską jej miłością Słowacki uciekł do Veytoux.

„Tej czekam omamiony...“ — mowa o Marii Wodzińskiej.

SUMNIENIE

Tekst wg pierwodruku w „Tygodniku Literackim“, Poznań 1839, nr 8. Wiersz, jak i poprzedni, zwrócony do Eglantyny Pattey.

„długim rozdzielił jeziorem“ — wyjazd Słowackiego z Genewy do Veytoux (por. objaśn. do wiersza „Przekleństwo“).

HYMN

Tekst wg pierwodruku w „Tygodniku Literackim“, Poznań 1839, nr 6.

Mała dziewczyna — Staś Januszewski, sierota, krewny matki poety.

DO Z. KRASIŃSKIEGO

Wiersz nie drukowany za życia poety.

OSTATNIE WSPOMNIENIE. DO LAURY

Tekst wg pierwodruku w „Tygodniku Literackim“, Poznań 1839, nr 35. Wiersz poświęcony Ludwice Śniadeckiej (por. „Godzinę myśli“).

Ofelia — nieszczęśliwa ukochana królewicza Hamleta z tragedii Szekspira „Hamlet“; Ofelia wpadła w obłąd pod wpływem nieszczęśliwej miłości i popełniła samobójstwo.

Strętliwość — zdrętliwość.

„Za innym biegłaś widziałem“ — Ludwika Śniadecka kochała oficera rosyjskiego, który zginął później w bitwie z Turkami.

DO PANI JOANNY BOBROWEJ

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Joanna Bobrowa — Polka, przyjaciółka poety w Paryżu. O jej miłość Słowacki pewien czas daremnie zabiegał.

Gisbach — Giesbach — słynna kaskada w Alpach.

Terni — miasto we Włoszech.

Nimfa — boginka wodna.

Kocz — rodzaj powozu.

Sumnienie — formy tej Słowacki używa b. często zamiast nowszej „sumienie“.

Wersalskiej natury — skłonny do lekkich miłostek. Wersal — słynny pałac Ludwika XIV pod Paryżem.

DO PASTERECZKI..

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Druid — kapłan celtycki, patrz w objaśn. w „Grobie Agamemnona“ — str. 173).

Pornik — miejscowość w pñ. Francji nad Atlantykiem.

Diana — rzymska bogini lasów i łowów.

Ranunkuł — jaskier, roślina polna o złocistych kwiatkach.

Monument — pomnik.

W PAMIĘTNIKU ZOFII BOBRÓWNY

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Zofia Bobrówna — córka Joanny Bobrowej (patrz objaśnienie do wiersza jej poświęconego).

Ikwa — rzeka w pobliżu Krzemieńca, rodzinnego miasta poety.

WSPOMNIENIE P. de ST. MARCEL

Wiersz nie drukowany za życia poety.

P. de St. Marcel — sąsiadka Słowackiego w Paryżu, wdowa po generale francuskim.

„Zegary szły...“ — we Francji panuje zwyczaj zatrzymywania zegarów w domu zmarłego.

„Przez krew...“ — podczas Wielkiej Rewolucji.

Republikany — zapewne portrety dawnych działaczy republikańskich.

Parki — w mitologii greckiej trzy prządki: Kloto przędła nić życia ludzkiego, Lachesis wyznaczała los człowiekowi, a Atropos przecinała nić życia.

Sejmy zerwane — nie dokończone rozmowy.

DO MATKI

Wiersz nie drukowany za życia poety.

BO TO JEST WIESZCZA NAJJAŚNIEJSZA CHWAŁA...

Wiersz nie drukowany za życia poety.

LIRYKA IDEOLOGICZNA

HYMN

Tekst wg pierwodruku w „Kurierze Polskim“, 7 XII 1830 r.

Spize — armaty spiżowe, tj. ulane ze specjalnego stopu miedzi.
Granity Newy — Petersburg, stolica carskiej Rosji.

Orzeł dwugłowy — godło państwowe carskiej Rosji.

„Wstyd wam, Litwini!“ — Litwa nie od razu przystąpiła do powstania listopadowego.

Giedymina gród — Wilno.

DUMA O WACŁAWIE RZEWUSKIM

Tekst wg pierwodruku w III tomiku „Poezyj“ — Paryż 1833.

Wacław Rzewuski — (1765—1831) — syn hetmana targowicznina Seweryna Rzewuskiego; służył początkowo w wojsku austriackim. W 1818 r. odbył podróż na Wschód i przejął zwyczaje tureckie oraz zdobył tytuł Emira, który nadawano wybitnym wodom i panującym. Rzewuski opisywał Wschód naukowo i jako poeta. Do Polski wrócił podczas powstania listopadowego i zginął podobno w bitwie pod Daszowem na Ukrainie 14 maja 1831 roku.

Khaaba — świątynia w Mekce, cel pielgrzymek wyznawców Mahometa.

Gaza — miasteczko portowe w pobliżu Morza Śródziemnego w Palestynie, punkt wyjściowy karawan udających się do Jerozolimy.

Solima — Jerozolima.

Harem — część domu mahometanina, przeznaczona na mieszkanie jego żon.

Beduin — por. objaśn. w „Godzinie myśli“, str. 168.

Smotrycz — dopływ Dniestru.

Emir — patrz „Wacław Rzewuski“.

„Kraj ożył!“ — wybuch powstania listopadowego.

Buńczuczne Kozaki — konnica kozacka miała buńczuki, tj. odznaki w postaci złotej gałki i ogonów końskich, zatkniętych na spisie. Przenośnie „buńczuczny“ — to tyle, co zapalny, skory do walki, zadzierżysty.

Kurhany — dawne kopce mogilne na stepach Ukrainy.

Horda — koczowisko Tatarów; używane też w znaczeniu zgrai, dzikiego tłumu.

Nogaj — wódz „Złotej Hordy“, który w 1259 r. dokonał najazdu na Polskę.

Czyngiskan — Dżengis-chan albo Temudżyn, wielki zdobywca mongolski, w 1211 r. zdobył Pekin, później podbił Turkiestan i północne Indie.

Batt — Batu-chan — założyciel Złotej Hordy tatarskiej nad Wołgą i Donem. Podbił Ruś, potem przez Węgry najechał na Polskę i dotarł do Śląska, gdzie w 1241 r. pobił ks. Henryka Pobożnego w bitwie pod Legnicą.

Kantemir — dynastia gospodarów na Wołoszczyźnie, wywodząca się rzekomo od wodza Mongołów Tamerlana.

Dońce — Kozacy znad Donu.

Oczerety — po ukraińsku sitowie, trzcina.

„I sam się zastrześlił na dziale“ — „Orlikowski, kapitan artylerii konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył, jak powyżej дума opisuje“ (przypisek poety).

Kindżał — duży nóż obosieczny, używany na Kaukazie i w Turcji. Kindżałem nazywa się niekiedy w ogóle sztylet.

PARYŻ

Tekst wg pierwodruku w III tomiku „Poezji“, Paryż 1833.

Sodoma — miasto w starożytnej Palestynie, zniszczone, wg St. Testamentu, przez Boga za grzechy mieszkańców.

„...co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli“ — uciemiężeni mogli podczas rewolucji wypowiedzieć to, o czym przedtem tylko tajemnie myśleli.

Jozue — postać ze St. Testamentu; na prośbę Jozuego Bóg wstrzymał słońce, by umożliwić mu zwyciężenie Jerycha przed wieczorem.

„Krwí trójcę w jednej wcieloną osobie“ — „Napoleon“ (przypisek poety).

Rodyjski posąg — 32-metrowy posąg boga słońca, Heliosa, na wyspie Rodos.

„A kiedy posąg walił się...“ — upadek Napoleona.

„Pod kolumną spiżu“ — „kolumna Vendôme“ (przypisek poety).
Mowa o kolumnie na placu Vendôme w Paryżu, ustawionej na cześć Napoleona.

Lilie Burbonów — herb dynastii Burbonów, która po rewolucji lipcowej objęła ponownie tron francuski.

Prorok Judy — Chrystus.

„Smutne jak wierzby Eufratu“ — aluzja do Psalmu „Nad rzekami Babilonu“, w którym wypowiedziane są skargi Żydów w niewoli.

„Wielki cmentarz zalega na górze“ — cmentarz zwany Père la Chaise w Paryżu.

Brahanckie koronki — Brabancka (w dzis. Belgii) słynna była z wyrobu delikatnych koronek. Tu mowa o katedrze Notre Dame w Paryżu.

Duch Osyjana — jeden z bohaterów poematu Macphersona „Pieśni Osjana“, opisującego mityczne walki rycerzy, średniowiecznej Szkocji; utwór ten miał wielkie powodzenie ze względu na wybitną nastrojowość (duchy, hurze, noc itp.).

Luwru — dawny pałac królewski w Paryżu.
Baltazar — ostatni król Babilonii (556—539), poległ podczas obrony Babilonu przed Persami.
Wyrobnik umarły — podczas rewolucji posadzono na tronie w zdobytym Luwrze trupa robotnika.
Dni lipcowe — rewolucja w lipcu 1830 r. w Paryżu.

RZYM

Wiersz nie drukowany za życia poety.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Sarkofag — ozdobny grobowiec z marmuru lub kamienia.
Bułat — sztylet, krótki miecz.
Balsamowanie — zabiegi mające na celu zabezpieczenie zwłok przed rozkładem.

NA SZCZYCIE PIRAMID

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Sfinks — wielki posąg kamienny w pobliżu piramid, przedstawiający lwa z ludzką głową — symbol słońca.
Cheops — faraon z IV dynastii, twórca jednej z trzech największych piramid.
Cefren — brat Cheopsa, twórca jednej z piramid.
„Mojżesz krwią Nil zafarbował“ — jeden z cudów, którymi Mojżesz dowodził faraonowi swej mocy płynącej z woli Boga.
Posoka — tu w znaczeniu krwi.
„Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad“ — na jednej z piramid był podobno wyryty po polsku napis: „Przekazcie wiekom 29 Listopad“.

UŁAMKI

Wiersz nie drukowany za życia poety.

„...temu, co krew waszą leje...“ — tj. carowi.

GRÓB AGAMEMNONA

Tekst wg pierwodruku w „Lilli Wenedzie“, Paryż 1840. V

Agamemnon — król micencki, wódz Greków podczas wyprawy na Troję. Budowla, którą Słowacki opisuje, okazała się po późniejszych badaniach nie grobowcem Agamemnona, lecz skarbcem Atreusa.
Atrydzi — potomkowie Atreusa, króla micenckiego, Agamemnon i Menelaus.
Druidyczny — druidzi — kapłani celtyccy w starożytnej Galii; składali oni ofiary na ołtarzach zbudowanych z ogromnych

- naturalnych głązów. Z podobnych głązów zbudowany jest „grób“.
- Elektra — córka Agamemnona. Po śmierci ojca, zamordowanego przez żonę Klitemnestrę, matkę Elektry, musiała ona spełniać w domu matki najniższe posługi.
- Arachne — pierwsza uczennica bogini Minerwy w sztuce tkackiej; za rywalizację z boginią została przez nią zamieniona w pajęczka.
- Cząber — roślina podobna do macierzanki.
- Rapsod — bohaterski poemat recytowany przez wędrownych pieśniarzy.
- Kuszez — (ros.) krzak, krzew.
- Homer — legendarny ślepy pieśniarz grecki, któremu przypisywane jest autorstwo „Iliady“ opisującej dzieje wyprawy Greków na Troję.
- Termopile — wąwóz w płn. Grecji, w którym w 480 r. przed Chr. król Sparty Leonidas z 300 żołnierzami powstrzymał armię perską i uratował tym Grecję. Wszyscy obrońcy Termopil przy tym polegli.
- Cheronea — miejscowość, pod którą Aleksander Wielki pokonał w 338 r. przed Chr. armię grecką; od tej daty liczy się koniec niepodległości starożytnej Grecji.
- Iłota — właściwie helota — niewolnik z podbitego przez Spartę miasta Helos; przenośnie — w ogóle niewolnik.
- Dejanira — żona Heraklesa, która chcąc zapewnić sobie miłość męża dała mu koszulę umoczoną we krwi pierwszego jej męża, centaury Nessosa. Koszula przyrosła do ciała Heraklesa i zaczęła je palić; dla skrócenia cierpienia Herakles popełnił samobójstwo.
- Styks — rzeka, przez którą wg wierzeń greckich dusze zmarłych przeprawiały się do krainy podziemnej.
- Eumenida — grecka bogini zemsty; przedstawiano ją z wieniec wężów zamiast włosów.
- Prometeusz — zbawca ludzkości przed gniewem Zeusa, największego z bogów greckich: Prometeusz wykradł z nieba ogień i dał go ludziom jako pomoc do uratowania się przed głodem. Za karę Zeus kazał go przykuć do skały w Kaukazie; przykutemu Prometeuszowi orzeł co dzień wyjadał wątrobę, która odrastała w ciągu nocy.
- Muza — grecka bogini sztuk pięknych; przenośnie — poezja.

TESTAMENT MÓJ

Wiersz nie drukowany za życia poety.

- Aloes — drzewo rosnące na Wschodzie; liście jego mają jakoby właściwość chronienia ciała zmarłych od rozkładu.

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA

Tekst wg pierwodruku w „Młodej Polsce“, Paryż 20 VI 1840.
Zwłoki Napoleona były sprowadzone do Paryża 15 grudnia

1840 r., wiersz swój Słowacki napisał zatem przed pogrzebem paryskim cesarza.

Korabl — (ros.) okręt.

Ręka syna — syn Napoleona zmarł w 1832 r. Zwłoki cesarza wiół „królewicz“, tj. ks. Joinville, syn Ludwika Filipa, króla Francji (1830—1848).

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Józef Meyzner — jeden z inicjatorów powstania listopadowego, uczestnik zamachu na w. ks. Konstantego w Belwederze. Zmarł w szpitalu paryskim 21 października 1841 r.

„W trumnie Karmelitów“ — Meyzner uwięziony był przed powstaniem w klasztorze karmelitów w Warszawie, zamienionym na więzienie.

Wiedma — wiedźma.

„Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną“ — płachta zakrwawiona podczas sekcji zwłok.

TAK MI, BOŻE, DOPOMÓŻ...

Tekst wg pierwodruku w „Dzienniku Narodowym“, Paryż 1842, nr 70. Wiersz ten jest wyrazem przyjęcia przez Słowackiego zasad Towiańskiego, który głosił wśród emigracji polskiej w Paryżu mistyczną ideę wewnętrznego doskonalenia się jako drogi do odrodzenia świata, a więc i wskrzeszenia Polski. Istnieją dane do przypuszczeń, że Towiański był wystannikiem rządu carskiego i że zadaniem jego było wprowadzenie niesnasek wśród emigracji. Słowacki bardzo szybko zraził się do towianizmu i jego wyznawców.

„Drugi raz pokój dany jest na ziemi“ — Towiański m. in. głosił, że jest drugim po Chrystusie zesłańcem bożym na ziemi.

POETA I NATCHNIENIE

Utwór nie drukowany za życia poety.

Magnet — magnes.

Nimfa — w mitologii greckiej boginka wód i lasów.

Parabola — przypowieść.

SOWIŃSKI W OKOPACH WOLI

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Generał Józef Sowiński — inwalida bez nogi, zginął 5 września 1831 r. podczas obrony reduty na Woli w Warszawie.

Gwery — tak nazywano z niemiecka karabiny, a także wysokie czapki wojskowe.

Paszkiewicz — naczelny dowódca wojsk rosyjskich w okresie powstania listopadowego, później generał-gubernator Królestwa Kongresowego.

LOS MNIE JUŻ ZADEN NIE MOŻE ZATRWOŻYĆ...

Wiersz nie drukowany za życia poety.

ODPOWIEDŹ NA PSALMY...

Tekst wg pierwodruku wydanego bez wiedzy autora w Lipsku w 1846 r. (bezimiennie).

Spirydion Prawdzicki — pseudonim, pod którym Z. Krasiński wydał „Trzy psalmy”.

Kiliński Jan — szewc warszawski, który w 1794 r. na wieść o zwycięstwie Kościuszki pod Racławicami wywołał powstanie w Warszawie, stając na czele rzemieślniczej ludności Starego Miasta.

Ikar — w mitologii greckiej wraz z ojcem swym Dedalem wznosił się na powietrze przy pomocy skrzydeł umocowanych woskiem do ramion. Wosk stopił się, gdy Ikar zbliżył się do słońca, i bohater pierwszego lotu runął do morza.

Cugi — bogate zaprzęgi.

Owidiusz — poeta rzymski (43 przed Chr. — 18 po Chr.).

Faeton — bohater poematu Owidiusza. Faeton za zezwoleniem swego ojca Heliosa, boga słońca, przez jeden dzień kierował wozem słonecznym, ale tak nieumiejętnie, że omal nie spowodował pożaru świata.

Irydiane — wyrażenie niezupełnie jasne: albo od Irydy, bogini tęczy, albo od „Irydiona”, bohatera dramatu Krasińskiego.

Sylf — duch powietrzny.

Stecka — ścieżka (prowincjonalizm).

„Dziś jednogom znał szlachcica...” — zapewne mowa o ks. Adamie Czartoryskim, przywódcy arystokratycznego stronnictwa emigracyjnego. Monarchiści widzieli w nim przyszłego króla Polski.

Mariusz — konsul rzymski, przywódca stronnictwa popularów (ludowego). Żył w latach 155—86 przed Chr.

Cezar — Caius Julius (100—44 przed Chr.) — wódz, mąż stanu i pisarz rzymski, został konsulem dzięki oparciu się o partię demokratyczną.

Robespierre — (1758—1794) przywódca radykalnego „Klubu Jacobinów”, przewodniczący Komitetu Ocalenia Publicznego, zwolennik metod terrorystycznych w zwalczaniu wrogów rewolucji. Zginął na gilotynie.

Lucyfer — tu jako nazwa gwiazdy porannej.

Rakka — hebrajskie słowo obelżywe.

Zebrzydowscy, Zborowscy — znani magnaci rokoszanie z XVI i XVII w. Słowacki widzi w nich reprezentantów tragizmu dziejów Polski.

Kamelia — roślina ozdobna, zwana też różą japońską.

USPOKOJENIE

Wiersz nie drukowany za życia poety.

Kolumna w Warszawie — kolumna na Placu Zamkowym, wystawiona jako pomnik Zygmunta III.

Kiliński — szewc warszawski, wstawił się jako dowódca mieszczan w obronie Warszawy w powstaniu kościuszkowskim.

Widzenia świętojańskie — wizje św. Jana w Nowym Testamencie, tzw. Apokalipsa.

Wół sycylijski — narzędzie tortur, którym posługiwał się Phalaris, tyran sycylijski (565—549 przed Chr.); było to urządzenie w kształcie wołu, do którego wrzucano żywych skazańców, po czym rozpalano pod nim ogień. Jęki męczonych wydobywały się podobne do ryku wołu.

Machabeusz Eleazar Abaron — bohater narodowy Żydów.

W 163 r. walcząc przeciw Syryjczykom zabił włócznią stołnia i sam zginął przywalony jego cielskiem.

Rycht — (niem.) kierunek, cel strzału.

WYJDZIE STU ROBOTNIKÓW...

Wiersz nie drukowany za życia poety.

GDY NOC GŁĘBOKA WSZYSTKO UŚPI...

Wiersz nie drukowany za życia poety.

POEMATY

JAN BIELECKI

Tekst wg pierwodruku w I tomiku „Poezycj“, Paryż 1832.

I. Wyprawa nocna.

Giedymin — w. ks. litewski (1316—1346), toczył walki z Krzyżakami, dokonał wielkich podbojów, rozszerzając granice Litwy na wschodzie.

Zygmunt I Stary — król polski (1506—1548); za jego panowania Polska osiągnęła wielką potęgę polityczną i gospodarczą.

Sfinks — w mitologii greckiej tajemniczy potwór w Tebach, który zrzucił w przepaść przechodniów nie mogących odgadnąć zadanej zagadki. Przenośnie — nieodgadniona tajemnica.

Westminster — opactwo w Londynie, gdzie znajdują się groby królewskie.

Izba Parów — wyższa izba parlamentu w dawnej Anglii.

Tamiza — rzeka przepływająca przez Londyn.

Mgława — zamglona.

„i umierając kładli się przed progiem“ — w Westminsterze podwórze brukowane jest płytami grobowymi mniej zasłużonych od tych, którzy pochowani są w samej katedrze.

Pan Brzezan — właściwie „Brzeżan“, których właścicielem był magnat Sieniawski.

Bona — żona Zygmunta Starego, Włoszka, która doprowadziła do wielkiego przepychu dwór królewski w Krakowie. Pomawiana była o otrucie żony Zygmunta Augusta — Barbary Radziwiłłówny.

Adamaszek — wzorzysta kosztowna tkanina, z której robiono obicia ścian i pokrycia mebli.

Indukt — termin z dawnej procedury sądowej: wywód, argumentacja.

„Władać jak niemieckie ksiączę“ — tj. samowolnie.

Bisurman — pogardliwa nazwa mahometan.

Nowego Świata — tj. Ameryki.

II Wesele.

Pergamin — pergamin, papier ze skóry, wyrabiany w mieście Pergamo.

Kozaki — służba dworska, hajducy.

III Bal maskowy.

Antenaty — (łac.) przodkowie.

Maszki — maski, stroje maskaradowe.

Bassora — port Bagdadu.

„Rzym Oceanu“ — „Wenecja“ (przypisek poety).

„Jak Tass się żali“ — Tasso Torquato (1544—1595), wielki poeta włoski. Tu mowa o poemacie Byrona pt. „Skarga Tassa“.

Kaszmir — tkanina z wełny kóz kaszmirskich (Indie), używana do wyrobu szali.

IV Zemsta.

Basza — właściwie „Pasza“; tytuł wysokiego urzędnika w Turcji.

Turban — zawój noszony na głowie przez niektóre narody wschodnie.

Larwa — zjawa pośmiertna.

W SZWAJCARII

Tekst wg pierwodruku w „Trzech poematach“, Paryż 1839. Poemat napisany na tle wspomnień z wycieczki w Alpy w towarzystwie m. in. Marii Wodzińskiej (por. wiersze jej poświęcone).

II

„...jest jedna kaskada“ — wodospad rzeki Aar w Handegg.

„Ze z tęczy wyszła i z potoku piany“ — na wzór narodzin greckiej bogini piękna, Afrodyte (z piany morskiej).

III

„U stóp tej lawiny“ — mowa o lodowcu, z którego wypływa rzeka Rodan.

V

„Przed Tella kościołem“ — kaplica zbudowana nad jeziorem Czterech Kantonów na cześć legendarnego bohatera szwajcarskich walk o niepodległość — Wilhelma Tella.

VII

Sylf — duszek powietrzny.

VIII

Jungfrau — jeden ze szczytów Alp Szwajcarskich.
„Z pelejad gromadą“ — Plejada to nazwa jednego z gwiazdozbiorów.

IX

Szalet — drewniany domek górskich pasterzy w Alpach.

XIV

Nimfa — w mitologii greckiej boginka wodna.

XVI

Pierścionek Dyjanny — sierp księżycy. (Diana — to w mitologii greckiej bogini księżycy).

XVII

Gaza — cienki przezroczysty materiał.

XXI

Załoskocze — prowincjonalizm (załaskocze).

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

Tekst pierwodruku w tomiku „Trzy poemata“, Paryż 1839.

Wstęp

El-Arish — miasteczko egipskie na granicy Palestyny.

Mohamed Ali — wicekról Egiptu (1805—1849).

Beduin — patrz objaśn. przy „Dunie o Wacławie Rzewuskim“.

Basza — patrz objaśn. przy „Janie Bieleckim“.

Lamartine — poeta francuski, jeden z wybitniejszych przedstawicieli romantyzmu (1790—1869).

Szech — święty mahometański, kaznodzieja.

Orientalny — wschodni.

Muezin — niższy duchowny mahometański, do którego obowiązków należy m. in. wzywianie wiernych do modlitwy. Wzywianie to ma charakter zbliżony do śpiewu (z minaretu, tj. wieżyczki stojącej obok meczetu, mahometańskiej świątyni).

Cherubin — anioł wyższego stopnia.

Anhelli — bohater poematu Słowackiego pod tym tytułem; Słowacki często utożsamiał siebie z Anhellim.

Drogman — tłumacz.

Champolion Jan Franciszek — znakomity francuski znawca starożytnego Egiptu (1790—1832).

Roselini Hipolit — uczone włoski, pomocnik Champoliona (1800—1843).

Fresnel Fulgence — francuski uczyony, znawca Wschodu
(1795—1855).
Solima — Jerozolima.
Konstelacja — gwiazdozbiór.

Poemat.

Dromader — wielbłąd jednogarbny.
Ajer — tatarak, roślina wodna.
Szech — patrz objaśn. przy wstępie.
Liban — kraj w Palestynie.
Skościał — skostniał, zesztyniał.
Muezin — patrz objaśn. przy wstępie.
Akbar — po arabsku „wielki“.
Sustawy — stawy (po rosyjsku).

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Utwór nie drukowany za życia poety.

Pieśń I

zwr. 1.

Pulia — albo Apulia; połudn.-wschodnia prowincja Włoch.
Otranto — cieśnina między Morzem Adriatyckim i Jońskim.
Korfu — wyspa w Archipelagu Jońskim.
Canto — po włosku: pieśń.

zwr. 43.

„O Ludko! dziecka kochanko“ — Ludwika Śniadecka (por. „Godyzine myśli“).

Pieśń VI

zwr. 15.

Eurypid — Eurypides, wielki tragediopisarz grecki (485—430 przed Chr.).

Słowo Eumenid — tj. przekleństwo. Eumenidy (por. objaśn. do „Grobu Agamemnona“, str. 174) występują w tragedii Eurypidesa „Oresteja“.

Mais c'est insipide — po francusku: to nierozsądnie.

Comment — po francusku: jak.

Non c'è — po włosku: nie ma.

zwr. 17.

Tho se mu krassi — gorzkie jak piołun — „wino w całej Grecji zaprawiają żywicą“ (przypisek poety).

zwr. 19.

Flażolet — rodzaj fletu, wydający bardzo wysokie tony.

zwr. 20.

Bardon — rodzaj instrumentu strunnego; tu w znac. instrumentu muzycznego w ogóle.

„I beg you pardon, but I don't like the music, I am sorry“ — po angielsku: przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przykro.

zwr. 21.

„Babel okropna języków“ — wg St. Testamentu wieżę Babel zaczęli budować ludzie chcąc dostać się do Boga; Bóg, karząc ich za pychę, pomieszał im języki; nie mogąc porozumieć się ludzie porzucili budowlę.

zwr. 22.

Zefir — lekki wietrzyk.

Dejanira — patrz objaśn. do „Grobu Agamemnona“, str. 174.

zwr. 23.

Vehmiczny — zaprawiony przecuciem grozy, nieszczęścia (z niem. Vehme albo Fehme — okropność).

zwr. 25.

Hektor — mityczny obrońca Troi, jeden z bohaterów „Iliady“ Homera.

zwr. 26.

Cenzurowany — dawna gra towarzyska, podczas której jeden z uczestników stawał się przedmiotem żartobliwych plotek i obmów.

zwr. 27.

Obskurant — wstecznik, człowiek zacofany.

Asekurant — ubezpieczający albo ubezpieczony.

Comte — po francusku: hrabia.

zwr. 29.

Eneasz — bohater poematu Wergiliusza „Eneida“. osnutego na micie trojańskim; po upadku Troi Eneasz tułał się po świecie w poszukiwaniu nowej ojczyzny.

zwr. 31.

Niewiasta Lotowa — wg St. Testamentu żona Lota została przez Boga zamieniona w słup soli za to, że wbrew zakazowi obejrzała się na płonąca Sodomę (por. objaśn. do wiersza „Paryż“, str. 172).

zwr. 32.

Mumia — zabalsamowane zwłoki faraonów i dygnitarzy w starożytnym Egipcie.

Tetyda — żona boga mórz — Posejдона.

Sofijówka — poemat Trembeckiego, opisujący park, który Szczęsny Potocki założył dla swej żony Zofii.

zwr. 34.

„Cnota skarb wieczny — cnota klejnot drogi...“ — cytata ze znanej pieśni Kochanowskiego.

Mnemozyna — grecka bogini pamięci.

zwr. 35.

Jordan — rzeka, w której Jan Chrzciciel ochrzcił Chrystusa.

Pieśń IX

zwr. 7.

Jowisz — najwyższy z bogów rzymskich, odpowiadający greckiemu Zeusowi.

zwr. 8.

Parnas — góra w Grecji, na której wg mitów przebywały boginie sztuk, Muzy.

zwr. 9.

Hymet — góry w pobliżu Aten.

zwr. 10.

Amfora — waza artystycznie wykonana, o kształcie jajowatym.

Najada — grecka boginka rzek i źródeł.

zwr. 14.

Falerno — gatunek wina włoskiego.

Fryga — kręcąca się zabawka, bąk.

Ereb — w mitologii greckiej świat podziemny.

zwr. 17.

„wierzę w te czterdzieści cztery“ — tajemnicza cyfra, oznaczająca w III cz. „Dziadów“ Mickiewicza imię przyszłego zbawcy Polski.

zwr. 21.

Kaika — lekka łódeczka turecka.

Olimp — góra w Grecji, na której wg mitów przebywali bogowie.

zwr. 23.

Eol — grecki bóg wiatrów.

zwr. 24.

Salamina — wyspa w Grecji, pamiętna zwycięstwem Greków nad Persami w 480 r. przed Chr.

zwr. 25.

Synaj — wg St. Testamentu góra, na której Bóg ukazał się Mojżeszowi.

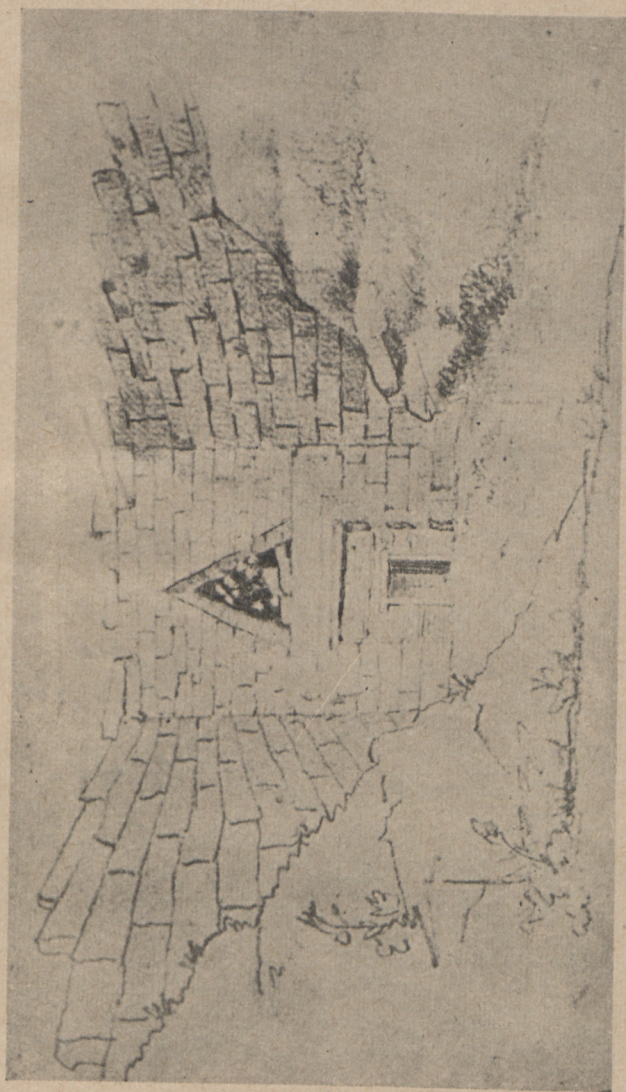


SPIS RZEGZY

	Str.
PORTRET J. SŁOWACKIEGO	5
LIRYKA OSOBISTA	7
Godzina myśli	9
[W sztambuchu Marii Wodzińskiej]	19
• Rozłączenie	20
Przekleństwo. Do ***	22
Sumnienie	23
• Hymn	24
Do Z. Krasieńskiego	26
Ostatnie wspomnienie. Do Laury	27
[Do pani Joanny Bobrowej]	30
Do pasterczki siedzącej na Druidów kamieniach w Por- nic nad Oceanem	32
• [W pamiętniku Zofii Bobrówny]	34
Wspomnienie pani de St. Marcel z domu Chauveaux	35
[Do Matki]	37
Bo to jest wieszczą najjaśniejszą chwałą	38
LIRYKA IDEOLOGICZNA	39
Hymn	41
Duma o Wacławie Rzewuskim	43
Paryż	48
Rzym	51
[Rozmowa z piramidami]	52
Na szczycie piramid	54
Ułamki	56
Ułamek z greckiej podróży. Grób Agamemnona	58
• Testament mój	62
Na sprowadzenie prochów Napoleona	64
Pogrzeb kapitana Meyznera	67
Tak mi, Boże, dopomóż	70
Poeta i natchnienie	72
• Sowiński w okopach Woli	74

	Str.
Los mię już żaden nie może zatrwożyć	77
Odpowiedź na Psalmy Przyszłości Spirydionowi Praw- dzickiemu	78
Mój król, mój pan — to nie mocarz żadny	87
Dajcie mi tylko jedną ziemi miłą	88
Uspokojenie	89
Wyjdzie stu robotników	92
Gdy noc głęboka wszystko uśpi	93
POEMATY	95
Jan Bielecki	97
W Szwajcarii	114
Ojciec zadżumionych w El-Arish	127
Podróż na Wschód (wyjątki)	142
POSŁOWIE	155
Posłowie	157
Od Wydawcy	166
Bibliografia	167
Komentarz słownikowy i rzeczowy	168

ILUSTRACJE



Rysunek J. Słowackiego

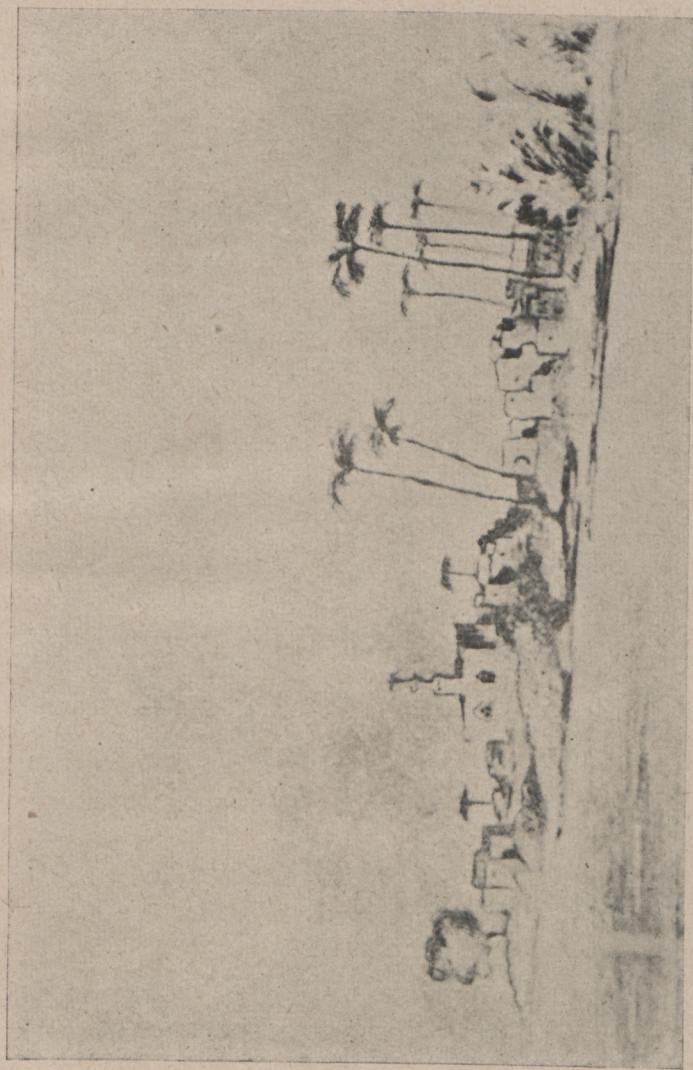
Grób Agamemnona

(Bibl. Ord. Krasniskich w Warszawie)



Widok znan Nju I.
Szkie olóvkowy Słowackiego (Rapularz podróży na Wschód)

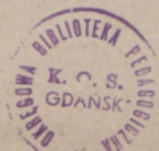
(Bibl. Ord. Krasieńskich w Warszawie)

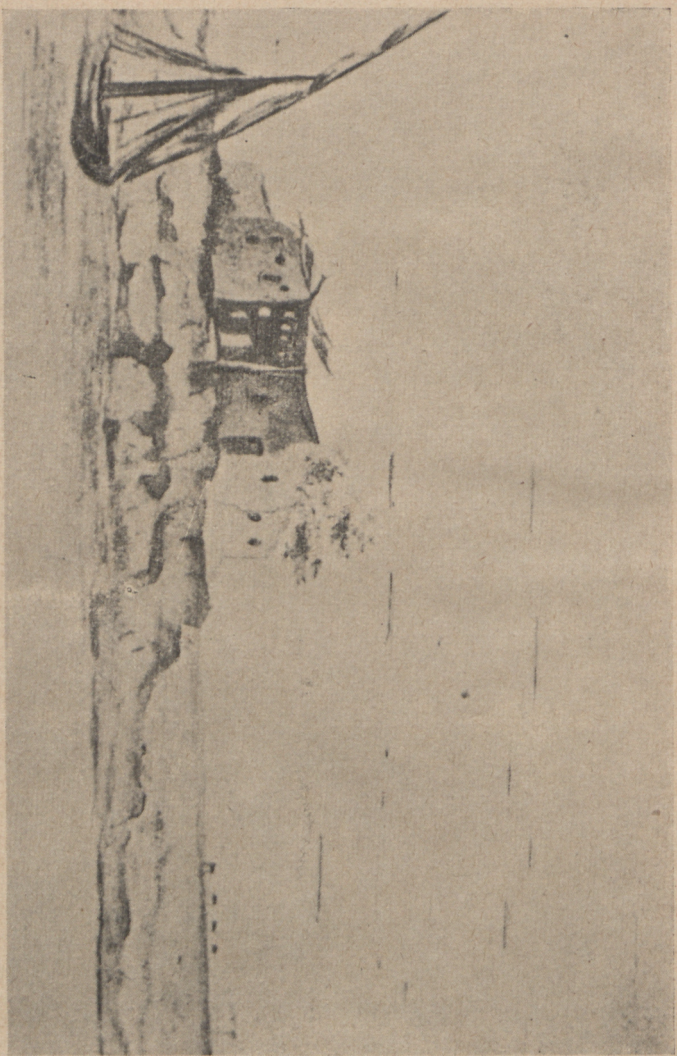


Widok z nad Nilu II.

Rysunek Słowackiego (Album podróży na Wschód)

(Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie)

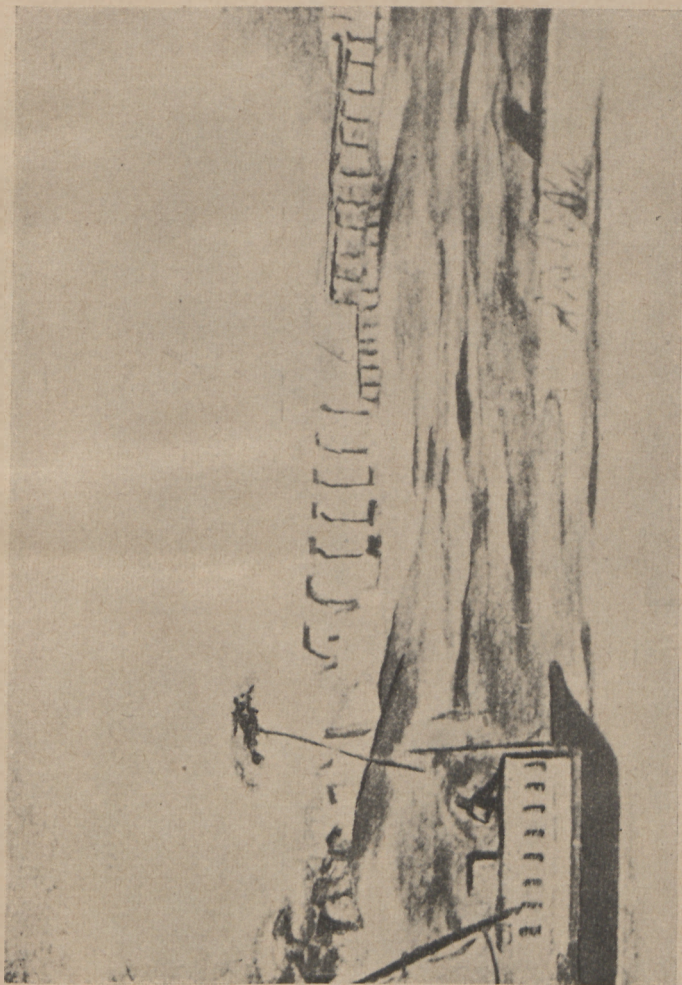




Rysunek Słowackiego (Album podróży na Wschód)

Widok znad Nihu III.

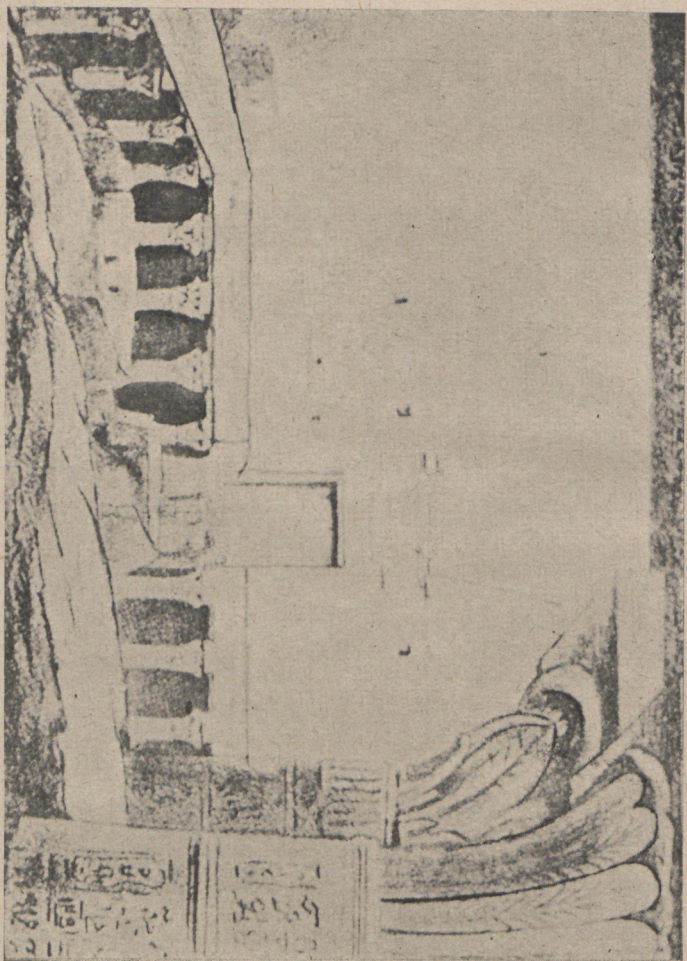
(Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie)



Łódź na Nilu i ruiny budowli egipskich

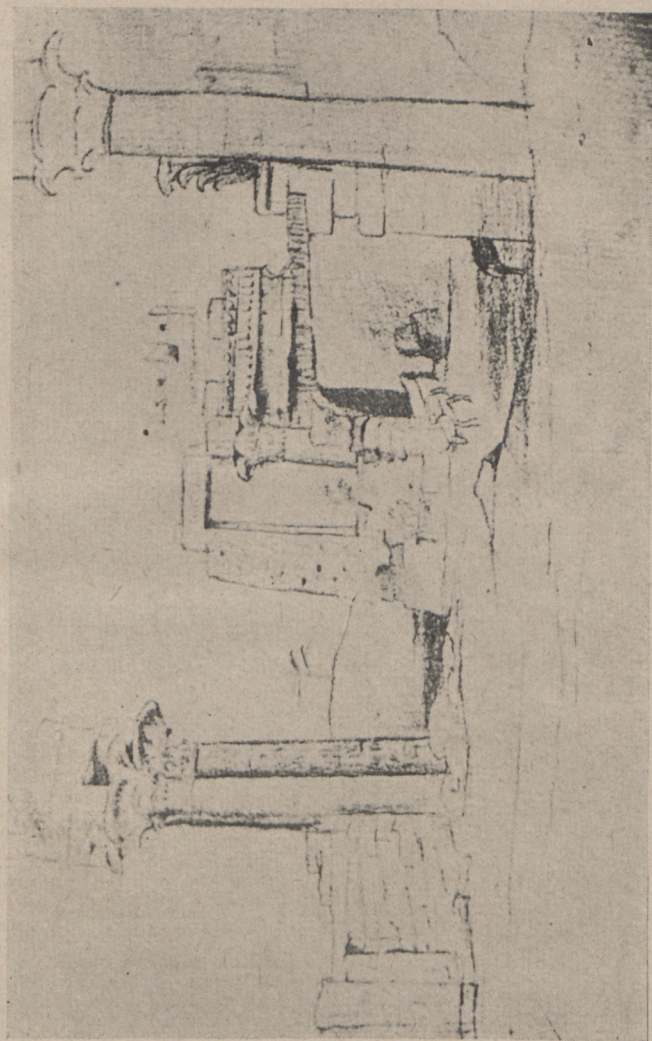
Rysunek Słowackiego (Album podróży na Wschód)

(Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie)



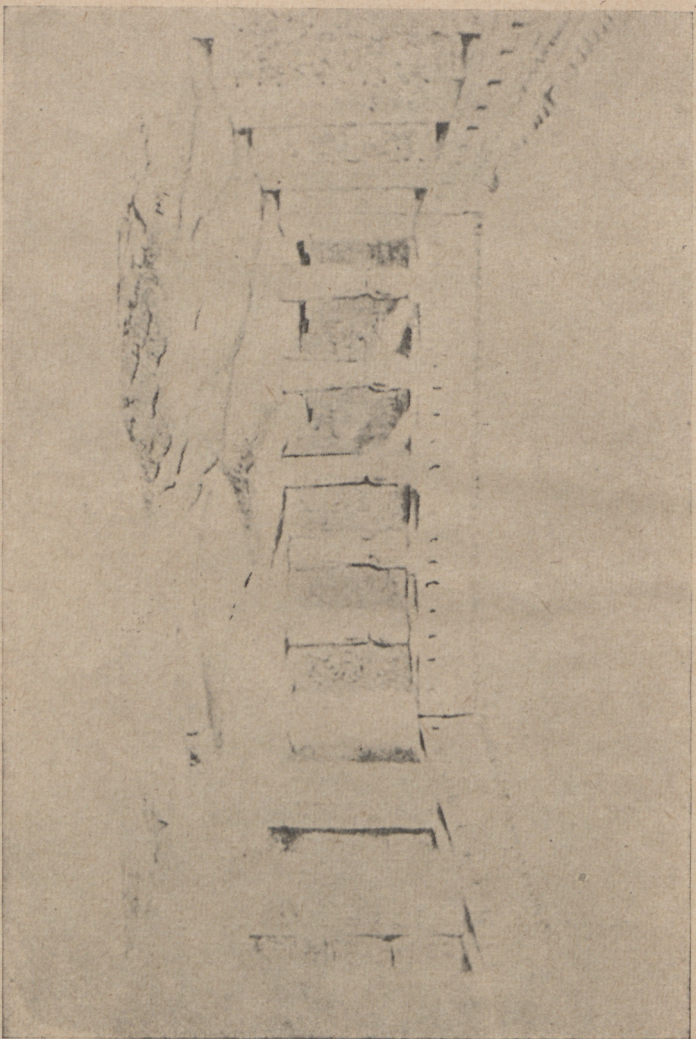
Rysunek Słowackiego (Album podróży na Wschód)
Świątynia egipska w Edfu nad Nilem

(Muzeum XX. Laponińskich we Lwowie)



Ruiny świątyni egipskiej
Szkic ołówkowy Słowackiego (Raptularz podróży na Wschód)

(Bibl. Ord. Krasieńskich w Warszawie)



Podwórzec świątyni egipskiej
Rysunek Słowackiego (Album podróży na Wschód)

(Muzeum XX. Lubomirskich we Lwowie)



Klasztor nad Nilem

Rysunek Slowackiego (Album podróży na Wschód)

(Muz. XX. Lubomirskich we Lwowie)





Rysunek J. Slowackiego

Port w Korfu

(Bibl. Ord. Krasińskich w Warszawie)

Ale ten naturalny jest, ale...
 Pod Aberam był, lub...
 Jtten sam stół, ten sam...
 Po go...
 Dla...
 Na...
 A...
 Co...
 P...
 C...
 K...
 Na...
 G...
 Na...
 Sm...
 Na...
 B...
 S...
 W...
 W...
 P...
 C...
 P...
 B...

Pod...
 18...

WYKAZ ILUSTRACYJ

Rysunki i szkice Juliusza Słowackiego:

1. Grób Agamemnona.
2. Widok znad Nilu I.
3. Widok znad Nilu II.
4. Widok znad Nilu III.
5. Łódź na Nilu i ruiny budowli egipskich.
6. Świątynia egipska w Edfu nad Nilem.
7. Ruiny świątyni egipskiej.
8. Podwórzec świątyni egipskiej.
9. Klasztor nad Nilem.
10. Port w Korfu.

Karta z autografu „Podróży na Wschód“.

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



3681